



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Warszawa ma szczęście do artystycznych wrażeń w tym roku; słyszała Rubinsteina, obecnie podziwia słynną, europejską trupę dramatyczną, zorganizowaną przez wielkiego miłośnika sceny i mecenasa sztuki, ks. meiningeńskiego.

Jerzy II, podobnie jak król Ludwik bawarski zajmuje się teatrem gorąco i ma żylkę artystyczną; jeden wszelako zapalonym jest miłośnikiem dramatu, drugi opery, jeden w małej mieścinie, niespełna 12,000 mieszkańców liczącej, urządził przed kilkunastu laty wzorową scenę niemiecką; drugi w Baireucie wystawił świątynię dla muzyki przyszłości, obaj dla swojej narodowej sztuki, nie szczędzą kosztów, poświęceń, opieki i w historii jej rozwoju pozostawią niezaprzeczenie po sobie piękną kartę zasług i pamięci.

Trupa meiningeńska przedstawiać ma ideał nowoczesnego teatru, tak pod względem dobranego kompletu sił artystycznych, jak i scenicznej wystawy.

Eusembl, całość, gra zbiorowa jest najgłówniejszym celem znakomitej w swoim zakresie reżyserji, która zerwała z dawną tradycją wielkich gwiazd, wielkich talentów, otaczających swoim blaskiem sceny i utrzymujących ich sławę. Każdy teatr starał się dawniej o jedną, lub kilka wybitniejszych jednostek, które zapewniały mu opinią dobrą i rozgłos, indywidualność aktora stała na pierwszym planie, sztuka pojedynczymi rolami świeciła. Wystarczyło być takim kolosem, jak Dawson, Ristori, Rossi, Salvini, albo Sara Bernhardt, aby w lada jakim najczęściej otoczeniu jedną zazwyczaj kreacją zachwycać publiczność i krytykę.

Z czasem wszelako pojęcie i wymogi się zmieniły; sztuka dramatyczna poszła o krok naprzód, interes pojedynczych ambicji aktorskich podporządkowano pod ważniejszy interes sztuki, popis wyjątkowych talentów zamieniono na koncert zbiorowy wszystkich najdrobniejszych sił przez ich dopasowanie umiejętne i zrównoważenie.

Zajęto się gorliwiej efektem całości; w przewidywaniu, że talenta dramatyczne nie rodzą się jak grzyby po deszczu, że ich zabraknąć może, postarano się o to, aby losów sztuki i sceny nie przywiązywać do indywidualności wyjątkowych. Reżysser stał się owym zakulisowym bohaterem sztuki, który jak dzielny wódz rozgrywać musi kampanię wielkiego repertoaru i umiejętną ręką kierować wszystkim.

L'union fait la force przyjęto za dewizę na scenie i poddano się jej z poświęceniem i karnością prawie bezprzykładną w tym światku, w którym własne ja podnieca ambicją i wygórowaną miłością własną było i jest jeszcze najczęściej jedynym bożyszczem i ideałem.

Meiningerzy dali przykład wzorowy takiej abnegacji osobistej talentów dla dobra i pożytku sztuki.

Każdy z artystów obowiązany jest poddawać się wskazówkom głównego kierownika sceny, przykładać się wszelkimi siłami do powodzenia całości i dlatego żadne widzimisię, żaden kapryś nie wchodzi tu w rachubę. Dzisiejszy Cezar mięsza się jutro w tłum i pomaga statystom do gry mimicznej; primadonna, złożywszy królewską koronę Elżbiety z głowy, staje w szeregu dam dworu, aby nadać pochodowi wspaniałość i inteligentnym udziałem przyczynić się do ensemble.

Co do technicznej strony użytkowano wszystko, aby podnieść wrażenie na zmysły widza i wszelkimi środkami sztuki i mechaniki osiągnąć główny cel: złudzenie prawdy rzeczywistej. Pod względem wystawy też Meiningerzy przodują najbogatszym i najhojniej subwencyonowanym scenom.

Wprowadzono często dotąd pomijany czynnik ścisłości i wierności historycznej w uscenizowaniu arcydzieł poetyckiego geniuszu.

Każda dekoracya, każdy kostium, każdy rekwizyt użyty do takich sztuk, jak „Juliusz Cezar”, „Marya Stuart”, „Obóz Wallensteina”, „Piccolomini”, „Wilhelm Tell”, są ściśle zastosowane do stylu i epoki, mają drobiazgową nawet wierność lokalną, etnologiczną lub archeologiczną.

Ze starych zamków, starych komnat, portretów, zbrojowni zebrano kopie, aby tylko ten cały aparat sceniczny w miarę potrzeby odpowiadał w najmniejszych nawet szczegółach swojemu celowi.

Zawsze i wszędzie zaś postarano się o wyzyskanie najefektowniejsze optyki scenicznej; grupy tworzą się pięknie, malowniczo, obrazowo, światła i barwy dekoracyi i kostymów dobrane tak, aby tworzyły odpowiedni koloryt tego ruchomego obrazu w ramach sceny.

Czarujące złudzenia wywołuje perspektywa i efekta świetlne, o jakich — w naszym teatrze zwłaszcza, pojęcia do tej pory nie miano.

Na innym miejscu specjalne pióro naszego stałego sprawozdawcy oceni zalety tej gry i zwróci uwagę na czynniki najgłówniejsze owego wrażenia, jakie przedstawienia Meiningeńskiej trupy na każdym widzu wywierają; naszym obowiązkiem podnieść tu zasługę inteligentnej reżyserji i artystycznego kierownictwa tej wzorowej sceny.

Pan Ludwik Chronegk, radca dworu książęcego jest owym duchem ożywiającym ten organizm z kilkudziesięciu członków złożony; on rządzi, doradza, rozkazuje, uczy, układa cały ten skomplikowany scenaryusz, rozdaje role i obsadza sztuki. Trzeba go widzieć na próbach, kiedy z dzwonkiem w ręku przebiega z jednego punktu sali w drugi, własnymi oczyma badając ogólne wrażenie ensemble, grup, pojedynczych figur.

Jedno „dzyń” reżysserskiego dzwonka przerywa całą akcją, wstrzymuje próbę, z wyteżoną uwagą słuchają wszyscy, jak na komendę, uwag reżyssera i starają się natychmiast do nich zastosować. Zdarza się niekiedy, iż nie raz, nie dwa i nie dziesięć, ale kilkadziesiąt razy przychodzi artystom powtarzać jakąś trudniejszą kwestyę, powracają do sytuacji, póty—dopóki efekt zamierzony nie zostanie w zupełności osiągnięty.

Wszystko też musi iść, jak na sznurku; wszystkie kółka obracać się, jak w zegarku. Bardzo to dobry i potrzebny przykład dla naszej sceny i reżysseryi, która wielu rzeczy nauczyć się teraz może i powinna dla pożytku sztuki i miejmy nadzieję, iż pobyt Meiningerów w Warszawie pozostawi też u nas praktyczniejsze korzyści na przyszłość.

Publiczność zawdzięczać im będzie szereg pięknych, podniosłych wrażeń i tę estetyczną rozkosz, jaką daje prawdziwa sztuka i poezya na scenie; taki ożywiający, szlachetniejszy wpływ stałby się wielką zasługą teatru, zwłaszcza gdyby mógł być trwalszym i pobudzać umysły do zajmowania się pięknem, literaturą, sztuką w szerszym i poważniejszym zakresie.

Przypomnienie Shakespeare'a, Schillera, Moliera zainteresowanie ich geniuszem publiczności, rozbudzenie smaku do ich utworów—to piękne i godne wielkiej sceny zadanie, ale trzeba uważać je za posłannictwo, nie za rzemiosło, nie za płatny tylko obowiązek.

Publiczność nasza odwykła od wielkiego rodzaju w sztuce dramatycznej, z literaturą geniuszów mało dzisiaj się obznajamia, karmi najczęściej umysł plewą naniesioną zachodnim wiatrem i to jej wystarcza. W pewnych wyjątkowych okolicznościach występuje dopiero na jaw ten brak szerszego czytania się, znajomości najznakomitszych nawet dzieł literatury powszechnej, które poznać i przyswoić sobie jest niejako obowiązkiem wykształconego człowieka; otóż niestety to humanitarne wykształcenie pozostawia u nas wiele do życzenia.

Owych „literatów i literatek” w dawniejszym pojmowaniu tych epitetów, nadawanych zapalonym czytelnikom i czytelniczkom książek, mało u nas, mniej, niżby być dzisiaj powinno; co więcej, czyta się za szybko, za pobieżnie, z pewnym roztargnieniem, jednostronnością, bez wielkiej korzyści. Francuzkie romanse i lekka bellestryka przyzwyczyły do przewracania książki gorączkowo, do szukania w niej tylko pewnych ustępów i pewnych rysów charakterystycznych, do wyprucia z całości jedynie tej jaskrawej niteczki fabuły.

Tę samą metodę zastosowuje się później mimowoli przy czytaniu dzieł poważniejszych; cóż dziwnego, że ta lektura wydaje się potem nudną, ciężką, nużącą, że uwaga musi się wysilać na pochwylenie pewnych subtelności, lub głębszych rysów dzieła, że przy dobrych zamiarach i wytrwałości czytelnika oko kilkakrotnie nieraz powracać musi do jednego i tego samego ustępu, aby nawlec myśli zrozumienie, wymykające się co chwila z umysłu zesputego smakowaniem i kosztowaniem tylko, innej lukury!

Jakżeż po Richepin'ie i Rollinacie smakować może Dant, a po Zoli Shakespeare lub Goethe...

Dobre czytanie jest także sztuką, a wybór dzieł i rodzaju lektury wskazówką charakterystyczną umysłowych potrzeb i kierunku, w jakim się czytelnictwo, a więc pewien prąd oświaty, rozwija.

Jeżeli te uwagi nasze stosujemy do większości, to na celu mamy przedewszystkiem nasze panie, które co najmniej zarówno powinny dbać o przystrojenie swych głów zewnątrz, jak wewnątrz, a zwłaszcza to pokolenie młodsze, które w gorszych warunkach się wychowywało.

Coraz trudniej dzisiaj w towarzystwie o pannę, z którą można prowadzić rozmowę zajmującą poza obrębem banalnych przedmiotów, płytkiej i powierzchownej pensjonarskiej edukacji.

Z tem dość powszechnem kiedyś pytaniem w salonie: „co pani czyta obecnie?”—lepiej się nie wyrywać, bo w odpowiedzi usłyszy się albo pusty tytuł modnej makulatury, albo wymówkę, że „ja-

koś tak w ostatnich czasach było się zajęta, iż książki do rąk wziąć nie było można.”

Co prawda, lepsza ta szczerza otwartość, aniżeli wykręt i fałszywa poza, niż ta bibliografia na języku, pseudo-sawantek, które imponują tytułami, świadczącymi o studjowaniu... katalogów nowości.

Nie wątpimy o znacznym nawet procencie kobiet karmiących się pożywną strawą umysłową, ale chcielibyśmy, aby ten zastęp rozszerzał się, nie zmniejszał, znacząc rzeczywiste ślady postępu w umysłowym rozwoju naszych przyszłych żon, matek i obywaterek kraju.

Nie bardzo to właściwy temat, mówić na wiosnę o lekturze, kiedy cała przyroda jest otwartą i najbardziej zajmującą księgą ilustrowaną, w której lada ustęp roznarza, albo upaja, kiedy najpiękniejsze poezye wypisane są żywymi kwiatami, najpiękniejsze romanse rozповіда słowik księżycowi, najswobodniejsze myśli budzi ożywczy powiew wiosennego technienia...

Tak uroczej wiosny dawnośmy już nie mieli, pomimo chłodów, które ostudziły za wczesne skwary słoneczne.

Maj w całej swojej krasie, w całym wdzięku zawitał.

Rolnikom uśmiechnęły się oblicza, rozjaśniły czoła, roziskrzyły oczy.

Może to przecież jakoś lepiej będzie.

Za miesiąc Warszawa roić się zacznie tłumem przybyszów i gości z prowincyi, a w tym roku napływ ich spodziewany jest dziesięćkroć większy z powodu wielkiej krajowej wystawy przemysłowo-rolniczej, która najlepsze budzi nadzieje.

Późno trochę, ale bardzo właściwie, zrodził się pomysł wyprzedzenia głównej wystawy, wystawami prowincjonalnymi; dobry przykład innym miastom i guberniom dał Radom, urządzając u siebie od dnia 30-go Maja do 4-go Czerwca wystawę płodów rolnictwa i przemysłu w trzynastu zajmujących działach, pomiędzy którymi nie zapomniano o pouczających „planach i opisach urzędzenia gospodarstw rolnych, rolniczo-fabrycznych od r. 1874 i włościańskich od 1864.”

Redakcja *Gazety radomskiej* zajęła się energicznie urządzeniem wystawy, która obywateli okolicznych żywo zainteresować powinna. Za miejsce na okazy nie oznaczono żadnej zapłaty, poprzestając na procencie od sprzedanych produktów.

Nagrodzone przedmioty i okazy przesłane zostaną kosztem komitetu wystawy na główną krajową wystawę w Warszawie, zapowiedzianą na dzień 10-go Czerwca r. b.

Szkoda, iż wcześniej nie poruszono tak praktycznej myśli i nie spróbowano przynajmniej w innych większych guberniach zawezwać przemysłu i rolnictwa do takiego popisu. Wystawa warszawska byłaby na tem niewątpliwie skorzystała pod względem świetności i urozmaicenia okazów na takim skombinowaniu się; obraz krajowego przemysłu i rolnictwa mógł wypaść lepiej, dokładniej, pełniejsze dając wyobrażenie o naszym ekonomicznym stanie.

Ale miejmy nadzieję, że i tak dopnie celu i nie zawiedzie ogólnego oczekiwania.

Na przyszłość dobry przykład Radomskiego powinien być praktyczną wskazówką dla innych stron kraju i zapewne wyniki tej prowincjonalnej wystawy zachęcą gorąco do naśladownictwa.

Lubelskie po stracie swojego biskupa okryło się żałobą i zajęte było uczczeniem pamięci i śmiertelnych szczątków „ojca” Wnorowskiego, któremu ze składek publicznych postanowiono wzniesić na cmentarzu pomnik w kształcie kaplicy.

Jednocześnie prawie, gdy u nas grzebano jednego dostojnika kościoła, w sąsiedniej Galicyi wznoszono okrzyki i ceremonialnie witano nowych arcybiskupów lwowskich, o których nasz korespondent przesłał nam krótkie następujące wiadomości:

„W dniu 4-m b. m. z wielką pompą i uroczystością odbyła się we Lwowie intronizacja metropolity halickiego, arcybiskupa lwowskiego, biskupa kamienieckiego, grecko-katolickiego obrządku, Sylwestra Sembratowicza. Akt to ważny ze względu na stosunki ludności jednego pochodzenia, ale różnego obrządku; starano się też

przy tej sposobności nacechować w należyty i wymowny sposób wspólność uczuć, praw i usposobienia współobywateli dwóch obrządków. Duchowieństwo łacińskie z nowozamianowanym swym arcybiskupem księdzem Morawskim na czele, skupiło się około księdza metropolity i we wspaniałym pochodzie prowadziło go przez całe miasto, wśród tysięcznych tłumów, z długim processjonalnym szeregami z cerkwi wołoskiej do katedry św. Jura.

„Malowniczo to był widok, którym oko i serce rozradować się mogło.

„Wszystkie dzwony kościelne i cerkiewne zwały się w zgodną harmonią; przed nominatem postępowały processyie okoliczne i miejskie, klerycy, duchowieństwo, niesiono bulle papieżkie, dyplom monarszy, mitry i pastorały biskupów sąsiednich dyecezyi: kanonicy, prałaci w togach, wszyscy dygnitarze świeccy z namiestnikiem Galicyi i marszałkiem krajowym na czele, otoczyli metropolitę i jego assystencyę; straż honorowa piesza i konna zamykała ten pochód wspaniały, który długo postępował, zanim się u wrót katedry, na wzgórzku miasta zatrzymał, aby zaintonować z głębi serca „Te Deum” i „Mnohaja lita”.

Pamiętny to był dzień dla Lwowa i całej Galicyi Wschodniej, a promienie pogodne z jasnego nieba, które rozpostarło cudny błękit nad widownią tego ceremonialnego aktu, świecić powinny długo jeszcze w duszach zbliżonych tą uroczystą chwilą”.

KSIAZDZ KAZIMIERZ

WNOROWSKI

Biskup lubelski.

(Dokończenie).

Żałoba po człowieku szlachetnym posiada tę władzę, że doznawana boleść wydstaje nam z piersi uczucia szlachetne, i tak było przy zwłokach tego świętobliwego, którego śmierć osierociła dusz tysiące. Oddać mu posługę ostatnią; wyrazić w jej akcie miłość swoją dla niego, swój szacunek, żal—cześć dla godności, dostojności jego ducha, stało się nagle potrzebą tłumów całych, które zapragnęły wyznać w ten sposób swoją solidarność z moralnymi ideałami zmarłego, z pragnieniami, dążnościami, celami jego życia. Martwe szczątki człowieka wywierają zawsze wrażenie wzruszające serca i umysły. Jeżeli leżąca na marach istota ludzka była, jak zły bogacz ewangeliczny, małością, którą odziewała wielkość zewnętrzna, jeżeli w lichy, nędzny sposób garnęła ona sobie czy złoto, czy zaszczyty, budzi się teraz w sercach ludzkich mimowolna pogarda tych wszystkich rzeczy, z których trup, w ziemię idący, nie zabierze ze sobą nic. Za to śmierć ludzi inaczej podniosłych wzrusza spotęgowaniem uszanowaniem dla cnoty: najprostszy czują, że jest coś, co przeżywa takich ludzi, nawet tu na ziemi—że jest nieśmiertelność dobra, które spełniali i które pozostaje po nich, aby działać wtedy nawet, gdy ich duch czysty uchodzi już kędyś ku gwiazdom, w stronę Boga! Gdy książd Kazimierz Wnorowski zamknął oczy, gdy przy jego łożu śmierci zawołano:—„Skończył ten sprawiedliwy!” owo wstrząśnięcie serc heroiczne, zapominające się liczyć z powszednimi warunkami bytu, dało się uczuć miastu całemu, udzielając się kregami, jak gdyby wzruszonej fali wodnej, coraz dalej, szerzej: wsiom, powiatom, dyecezyi. Zmarły biskup okazał się przy zgonie tak ubogim, że mógłby był mieć za maluchną pozostałość swoją, dziesięć rubli, zaledwie pogrzeb wyrobnika, a przecież nie zabrakło niczego, aby pochowanym został jak książę kościoła—uroczyście, dostojnie. Dawano, czego było potrzeba, proszono, aby brać chciano, i zdawać się mogło, że wyrachowanie, chęć zysku nie istnieje na ziemi, że ludzie to aniołowie, żyjący ze sobą w braterstwie miłości świętej. Legenda cudów przy grobie Świętych powtórzyła

się: stał się cud uświęcenia się serc, podnoszenia się duchów przy tej prostej trumnie dębowej, w której biskup chciał spocząć. Zażądał tego przed śmiercią i uszanowano tę wolę jego ostatnią: cztery deski najtwardszego, najwytrwalszego drzewa z lasów naszych, przyjęły jego ciało, aby w nich, jak w łożu dobrem, oddano go łonu matki ziemi.

Po nabalsamowaniu ciała było ono wystawione przez dni dwa na katafalku, ustawionym w pałacu biskupim i oblegały je od rana do nocy tłumy ludzi płaczące, jęczące. Wsie całe ciągnęły gromadnie z krzyżem, z chorągwiemi, najpierw z miejsc pobliskich Lublinowi, potem z okolic coraz dalszych; napływno do miasta tysiącami i tysiącami cisnięto się do otwartych bram pałacu biskupiego, gdzie na służbę porządku zaciągnęła wartę straż ogniowa. Ludność żydowska zapragnęła też udziału w tym hołdzie składanym zwłokom świątobliwego—zapragnęła ujrzeć raz jeszcze to oblicze szczupłe, słodkie, spokojne, które miało dla wszystkich bez różnicy łagodne, dobre spojrzenie brata lub ojca—współziomka. Ze przeciwieństw okolic przybyła znaczna liczba żydów: ubogich prostych, hałatowych żydów z miasteczek, ilość ich tak wzrosła, że nie odmawiając przystępu, trzeba było z konieczności uczynić jakiś wybór, i do katafalku przystąpiła tylko wybrana gromadka. Przysunęła się ona do zwłok poważnie, uroczyście, z uszanowaniem, z uczuciem widocznym głębokiego przejęcia i żalu. Zwracał uwagę starzec, siwy jak patryarcha, po którego twarzy płynęły łzy: usta jego poruszały się, szeptał jakieś słowa ciche i niewątpliwie modlił się za duszę biskupa. Ponieważ kachał lubelski odprawił w miejscowej bóżnicy uroczyste nabożeństwo żałobne, mogła to być bez naruszenia religijnej jego prawowierności, modlitwa za zmarłego.

Gdy przy przeniesieniu zwłok z pałacu do katedry kondukt żałobny ciągnął, prowadzony przez arcybiskupa warszawskiego Popiela, w asystencji biskupa kieleckiego Kulińskiego i całej kolegiaty lubelskiej, były wszystkie dzwony kościołów miasta, a między niemi odzywał się i dzwon kościoła ewangelickiego! Wszystko się łączyło; drobne względły różnic i podziałek ginęły i te rzesze tłumnie zbiegnięte, była to tylko ludzkość wzruszona, i widzimy teraz jak się to załatwiać mogą najcięższe kwestye społeczne.

Przeniesienie zwłok do katedry nastąpiło w Niedzielę o godzinie szóstej wieczorem; przebyły one noc całą w tej świątyni starożytnej, gdzie odgłos kroków zdawał się budzić echa stare, gdzie cienie lat minionych stawały się wieszac między wyniosłymi filarami. Klerycy seminarjum lubelskiego mają głosy muzykalnie wyrobione i zwłaszcza w poważnych śpiewach chóralnych celują. Zmarły starał się o to ze względu na uroczystość służby Bożej, ze względu na podnoszenie ducha modlących się ludzi. Muzyka, ta najidealniejsza sztuka, ma najsilniejszą może moc wzruszenia tłumów, i zmarły biskup wymagał, oile na to pozwalał organ głosu, aby młodzież duchowna kształciła się w śpiewie, i *Miserere*, które śpiewano prowadząc ciało, przenikało serca wzruszeniem. Trumna, surowo z dębu wyciosana, była już całkowicie pokryta wiencami, niesli ją na barkach swoich obywatele ziemscy; panowie i włościanie, i lud lubelski. Otwierały pochód cechy i korporacje z wiencami, których było czterdzieści dwa: były nadesłane z blizka i z daleka, były od wszystkich prywatnych pensyi i zakładów naukowych, od matek i dzieci, od sług lubelskich i ten wieniec jest może najbardziej wzruszającym, bo wykazuje jak ogólną była miłość, jak ogólnie było poczucie się do obowiązku oddania czci temu Świątobliwemu. Był wieniec i od służby dworskiej (męskiej); był wieniec wiele znaczący od gminy izraelskiej z wersem 83 Psalmu, wiersz 14: „Sprawiedliwość jego postępuje przed nim“. Był przesłiczny wieniec z fiołków, ulubionego zmarłemu kwiatu, przysłany od miasta Siedlec.

Gdy umieszczono trumnę na wyniosłym katafalku pod purpurowym baldachimem, przemówił z kazalnicy proboszcz pobernardyńskiego ko-

ścioła św. Pawła, ksiądz Bóldok, kanonik kolegiaty zamojskiej, potem odśpiewano poważne hymny niesporów żałobnych, wreszcie rozległ się z chóru uroczysty śpiew, wykonany przez amatorów: *Salve Regina!* układu Moniuszki. Towarzyszył mu głośniejszy niemal niż starożytny organ płacz ludu. Chciano za skończeniem uroczystości, o godzinie ósmej kościół zamknąć, ale nie dało się to uczynić niemal do północy. Rzesze ludu z dalszych okolic, od samych krańców dyecezyi przybywały na jutrzejszy pogrzeb i okryci kurzem, zmęczeni, chcieli przecież klęknąć jeszcze u stóp katafalku, ujrzeć drogie im oblicze, zbłądłe pod cieniami śmierci. Ściągnano się tak przez noc całą, zalegając gromadami obszerny plac przed kościołem, lub rozmieszczając się po podwórzach starych kamienic, aby nazajutrz, skoro starożytnym obyczajem ozwie się z Wieży Krakowskiej hejnał poranny, wynurzać się z głębi starych ulic i cisnąć się do drzwi katedry, która też od najwcześniejszego poranku została otwartą. Byli tacy, a między niemi wiele osób z miejscowej ludności lubelskiej, którzy całą noc czuwali na modlitwie między gotyckimi kolumnami przedsionka. Święty tylko może tak wzruszyć i ogarnąć serca ludzkie, i trzeba też powiedzieć: Święty to był!

Wieczorem przybył jeszcze biskup sandomierski Sotkiewicz, przybyli kapłani ze stron różnych, ogółem było duchowieństwa osób 200. Od świtu odbywały się Msze przy wszystkich ołtarzach katedry, której ołtarz główny, podobnie jak tron biskupi, był obleczony kirem krepy czarnej. Jeden kapłan ustępował miejsca drugiemu: o godzinie 9-tej odprawił pierwszą wotywę biskup kielecki, o godzinie 10-iej biskup sandomierski, o godzinie 11-iej Mszę Wielką arcybiskup Popiel, w asyście kapłanów warszawskich archidyakona kanonika Filichowskiego i dyakona kanoników Czajewicza i Jungowskiego; na chórze śpiewały głosy amatorów. Następnie kazał z mównicy kanonik Jaczewski, skreślając historią świątobliwego żywota zmarłego; nakoniec ozwał się żałobny śpiew alumnów: *Castrum doloris*, zniesiono trumnę z katafalku i wyniesioną przez alumnów, złożono na ośmiokonnym, umyślnie na tę uroczystość zbudowanym, wyniosłym karawanie. Na czterech jego rogach stanęło czterech alumnów i ruszono tak ku cmentarzowi, przez Krakowskie-Przedmieście, a żałobny ten kondukt miał długości przeszło wiorstę i to postępując w zbitym tłumie. Byłby mógł być mile dłużym, gdyby był luźniejszym, a gdy ruszył z miejsca, zadzwonił zmarłemu po raz ostatni ze starej wieży Trynitarzkiej wielki dzwon starożytny: *Zygmunt*. Już jest on bardzo uszkodzony, i należało to do szczególnych zabiegów zmarłego biskupa, aby zebrać na jego naprawę pieniądze potrzebny. Serce jego było też głucho w spēkany tułów, było przecież, a zanim dzwony wszystkich kościołów miasta, zawsze wraz z dzwonem kaplicy ewangelickiej. Wspomnieć też należy, że oprócz reprezentantów gminy izraelskiej z wiencem, postępowal w orszaku i kachał. Jak ten, którego martwe ciało uiesiono na odpoczynek wieczny, nie odpychał nigdy nikogo, tak uczyniono, wstępując w jego ślady.

Najszlachetniej pojęte uczucie tolerancji religijnej, i wszech ludzkiego braterstwa, przenikało ten tłum wielotysięczny, dając nieoświeconym i maluczkiemu w duchu, wielką lekcją prawdziwie Chrystusowej religii. W długim łańcuchu duchowieństwa świeckiego i zakonnego, uderzały dwie postacie: ostatniego kapucyna dyecezyi lubelskiej i lubelskiego kanonika Dymowskiego, sędziwego starca, liczącego lat 90. Szedł przed trumną, choć droga była daleka, bo chowano te szczątki drogie na cmentarzu nowym, zamiejskim. Stało się to z przyczyny, aby mógł spoczywać obok matki ukochanej, jak tego żądał. Stary cmentarz jest już tak pełnym i ma tak zakupione miejsca wszystkie, że biskup nie mógł, pomimo starań wielkich, pomieścić tam zwłok matki, zatem i on poszedł ledz na ostatni spoczynek ziemski na cmentarz nowy, jakkolwiek dotąd wszyscy biskupi lubelscy leżą na starym. Ale zapisano już składki na mający tam stanąć

pomnik, który będzie zarazem kaplicą pogrzebową nowego cmentarza.

Wymienianie porządku, w jakim postępowal kondukt, byłoby długim i może uwagę czytelnika nużącym. Znajdowały się tam wszystkie cechy z chorągwiemi swemi, wszystkie bractwa i korporacje miejscowe, lub ich deputacje, przytem deputacja archikonfraternii literackiej warszawskiej, i inne przybyłe, cała ucząca się młodzież: dzieci ze szkółek elementarnych, uczniowie szkoły kolejowej technicznej, wszystko z wiencami, z wiencami także uczennice szkoły rękodzielniczej, uczennice szkół żeńskich pp. Zalewskiej, Meyer, Świerczyńskiej, Sękowskiej, uczennice gimnazjum w pełnym komplecie, ale już bez wienca, uczniowie gimnazjum bez wienca również. Pochód szycował się w szeregi naprzód mu przepisane, przez godzin dwie, od 11-ej do 1-ej, o której to godzinie ruszono z miejsca. Karawan zatrzymał się przed domem Ziemskiego Towarzystwa Kredytowego, gdzie wystąpili obywatele ziemscy, aby wziąć trumnę na swe barki. Niesli ją już aż do grobu panowie i włościanie, potem rzemieślnicy i lud lubelski, zawsze w porządku najwyższym, poważnie, uroczyście. Łańcuch wyciągnięty z obu stron pochodu, tworzyła trzymająca się za ręce straż honorowa, która spełniała służbę porządku pogrzebowego, zawiązawszy się dobrowolnie, z natchnienia burmistrza lubelskiego, Zwolińskiego, a tłum ani na chwilę, i w żadnym miejscu nie przerwał jej łańcucha, nie rzucił się przebojem. W miarę jak się pochód przedłużał, potrzeba było przedłużać się i straży, więc przyzywano ochotników z tłumu: chrześcijan, żydów, chłopców wyrostków, nawet kobiety i wszyscy spólniali swój obowiązek sumiennie, spokojnie, bo też i publiczność była nastroszoną odpowiednio, przejęta uroczystością chwili. Nie było w tej straży starszych i młodszych, dowódców i szeregowców, wszyscy byli równi, a nad tymi wszystkimi panowało uczucie obowiązku obywatelskiego i nie nie zakłóciło spokoju, nie wymieniono potem, ani jednego czynu złodziejstwa.

Orszak liczono na 40.000 osób. Ciągnął on wzdłuż ulic, których wszystkie okna były otwarte, wszystkie chodniki pełne zbitego tłumu ludzi. A wszystkie głowy były odkryte: starych, młodych. Tylko Żydzi, zachowując swój obyczaj, mieli czapki na głowie, odsłaniając je dopiero w obec trumny.

I wszystkie sklepy bez różnicy, tak katolickie, jak żydowskie, były zamknięte. Latarnie gazowe okryte krepą płonęły i dociągnięto tak do cmentarza, gdzie na zbudowanej umyślnie estradzie miał pierwszą: długą i gorącą mowę biskup Kielecki, podnosząc znaczenie przykładu, jaki zmarły zostawił po sobie, zarówno dla duchownych, jak i ludzi świeckich. Że postać mówcy była majestatyczną, głos dzwięczny i donośny, czyniło to wrażenie na wszystkich. Drugim z kolei mówcą był ksiądz Mleczek, szlachetne serce uczuć silnych, wypróbowanych wśród doświadczeń życia. Ten pasterz prawdziwy trzody Chrystusowej, sam był pełen wzruszenia, mówił do panów wiejskich i wiejskiego ludu, do kapłanów, zawsze słowami głębokiego uczucia i miłości, przez którą wzywał do wytrwałości w cnocie i wierze, a gdy na zakończenie zawołał do arcybiskupa, aby zakreślił nad rzeszą krzyż umacniającego błogosławieństwa, płacz ludu wzbil się w niebogłosy.

Trzecim mówcą był lekarz miejscowy, Dr. Alexander Janiszewski, wymowny szlachetną, rozumną wymową. Treścią jego mowy było najpierw wykazanie, że tylko zasłużony budzi żal taki itak uczczonym być może przez; ogół dalej przedstawiał on w zmarłym wzniosłe zjednoczenie kapłana z obywatelem, którego cechy główne wyszczególniał. Obywatel—to jeszcze nie każdy mieszkaniec jakiegokolwiek kraju. Obywatel—to ten, kto od młodości do sędziwości nie siebie, nie swój interes ma na celu, ale czyni przedewszystkiem i nadewszystko to, co bezpośrednio i pośrednio dobru ogólnemu służy i szczęście ogólne zwiększa—kto nigdy, nawet w myślach swoich, siebie, karyery swej, dostatków, zaszczytów, nie wynosi przed pomyślnością powszechną, ale stale, zawsze i niezmiennie zajęty jest dobrem publicznym, przed którym muszą ustą-

pię osobiste żądze, osobiste pragnienia: próżność, myśl o sławie dobrobycie, używaniu. Kto inaczej czyni, kto choćby tylko w duszy swojej jest innym, już się w liczbie dobrych obywateli mieścić nie może. Już dobrym obywatelem nie jest, gdyż nie potrafi on interesu swego, osobistości swojej poświęcić dobru społeczeństwa, ziemi, której jest synem. Im naród jakiś posiada więcej ludzi poddających interes jednostek potrzebom ogólnym, tem jest szczęśliwszym i wyższym, tem wyższy szczebel zajmuje w hierarchii ludzkości, bo wartość narodów mierzy się wartością ich obywateli. Więc też szacunek ogółu udzielanym być powinien w miarę wyższej, lub niższej obywatelskości człowieka: żadne zdolności, talenta, prace dla siebie, dla swego interesu podejmowane i dokonywane, nie dają do tego prawa i takim też jest zwykle wymiar sprawiedliwości publicznej. Tego otacza największa miłość, najżywsze uwielbienie, kto w sercu swoim nosi najwięcej miłości swego ogółu, kto za kierownika czynów swoich przyjął tę miłość i uczynił ją sumieniem swoim.

Takim był ten kapłan świętobliwy, którego szczątki miały teraz spocząć w łonie ziemi rodzinnej i mówca zawołał nad jego prostą drewnianą trumną: Ecce Civis!...

Nikomus szlachetniejszy tytuł nie zabrzmiął u mogiły, nikt nie szedł na odpoczynek wieczny żegnany pięknie i wzniosłej. Korrespondenci lubelscy donieśli, że w żalu po zgonie tego sługi Bożego, tego apostołskiego ucznia Chrystusowego, rabin lubelski nakazał gminie swojej post miesięczny, jak wobec kłeski publicznej i złożył mu do trumny pohebrajsku na pergaminowym zwitku wypisane Dziesięcioro Bożego Przykazania.

Taka chwila, jak pogrzb tego sprawiedliwego jest historyczną i nadługo niezapomnianą, nadługo płodną w skutkach swoich, bo wstrząsnęła serca i podniosła ludzi nad to istnienie pospolite, smutne, mętne „konch, co się w bagnie tają.” Rozszerzyły się przez nią serca, piersi wciągnęły w siebie tchnienie pokrzepiające i każdy, kłękający na grobie księdza Kazimierza Wnorowskiego, może rzec, schylając odkryte czoło: — Tu spoczywa mąż Boży!...

M. Ilnicka.

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Niema wojny? — spytał chory osłabionym głosem, z prostotą dziecka przyjmującego starszych perswazyje.

— A czemuż strzelają tak gęsto, kiedy niema wojny? — powtórzył zapytanie po chwili.

— To jacyś myśliwi — odparł zakonnik, nie chcąc wyjawieniem prawdziwego celu strzałów przywołać na pamięć choremu smutnej rzeczywistości, która go na łożo powaliła.

— Może się pomodlimy: to cię uspokoi i pokrzepi — dodał mnich po chwili.

— Dobrze ojcze, odmówmy litanią o szczęśliwą śmierć — odpowiedział chory uspokojony.

Bernardyn ukląkł nanowo przy kłęczniku. Jaś obok niego i drżącym głosem rozpoczął żadaną litanią; chory, oparłszy się na poduszkach, które Zosia podtrzymywała, słabym głosem odpowiadał księdzu razem z innymi.

Nim się modlitwa ukończyła, fajerwerki tymczasem ustały a z niemi i huk strzałów; chory, nietylko się uspokoił, ale nawet oprzytomniał, a zażywszy kordyału, który mu zakonnik, jako jedyny lekarz preparował — ozwał się nieco pewniejszym głosem:

— Mój ojcze, czemu to Tomasz nie przybywa? Mnie już tu nie długo, a chciałbym się z nim zobaczyć, bo ostatnim razem rozstaliśmy się nie po-

bratersku, byłem względem niego niesprawiedliwym, chociaż teraz dowodnie się przekonywam, iż on pocziwiec nie miał żadnego udziału w tem naszym prześladowaniu, a nadto jeszcze sam cierpiał... nim stanę przed Bogiem, chciałbym się mu submittować i przejednać go... czemuż nie przybywa, kiedy mi już tak niedługo?

— Bóg łaskaw, mój synu — uspakajał mnich — Tomasz zawiadomił, że dziś jeszcze do nas zawita, tylko go patrzeć.

Zaledwie tych słów domawiał, skrzypnęły drzwi, a w nich ukazał się gość oczekiwany. Pan Tomasz widocznie nie należał do grona uczujących, był bowiem ubrany w podróżną kapotę, nawet zapyłony, widocznie, iż świeżo z dalekiej drogi przybywał.

Na widok pożądanego gościa nawpół martwe już oblicze rozjaśniło się, ożywiło radością, chory o własnych siłach podjął się na łożu, a tak rzeczwo, iż w przytomnych wstąpiła utracona już nadzieja.

Obadwaj bracia z płaczem padli sobie w ramiona i trzymali się w długim uścisku, poczem chory, usuwając się do ściany, wskazał przybyłemu miejsce na łożu przy sobie, i rzekł:

— Siadaj-że, drogi bracie, tu przy mnie, bo czas krótki, a tyle mamy do pomówienia... Słusznie powiadał ksiądz stryj, że Bóg łaskaw, kiedy mi ciebie zesłał, a ja grzeszny zwątpiłem o jego wielkiem miłosierdziu, myśląc, iż tu się nie obaczymy i że mi nie odpuszczisz moich względem ciebie przewinień...

— Niema tam o czem mówić, panie bracie, Bóg łaskaw zachowa nam ciebie na pociechę i wszystko będzie dobrze — odparł Tomasz, siłując się na wstrzymanie łez, które mu się czuć w głosie dawały.

— Jam nie dzisiejszy, mój bracie, a dzieckiem nie jestem, abym się ludził płonną nadzieją. Pan powołuje: stawić się trzeba, a zresztą i pani siostrze Maciejowej może tam tęskno do mnie; nie ma komu biedaczka kontrować na tamym świecie, pocziwie kobiecisko.

Tak prawil chory, uśmiechnięty, ten zaś odbłysek dobrego humoru pocieszył i uspokoił przytomnych, tak, iż ksiądz stryj ozwał się wesoło:

— A tak, to lubię, mój synu, bo to nawet Pademontanus powiada, że siła ducha jest najdzielniejszym zwyciężcą choroby.

— Ot, wiecie co, ojcze stryju, gdybyście nam z panem bratem dali po lampce waszego miodku z zielonego butla, wypilibyśmy na zdrowie pana brata, żeby nie chował ku mnie rankoru, a zresztą i strzemiennie mi się należy, jako odchodzącemu. Dobrze, panie bracie, żeś przybył i wielka łaska Boga na mnie niegodnego, iż cię zesłał, bo mnie ksiądz stryj pojednał już z Bogiem, a szczęśliwszy i spokojniejszy odejdę, wiedząc, że ku mnie nie chowasz zawziętku.

Tymczasem zakonnik z szafki w ścianę wmurowanej wydobyl zaplesniałą flaszę i w lampki ponalewał. Cmotkając sobie szlachetny trunek, weselili się społem, jakby tu wistocie wszystko szło ku życiu, ale nie smutnemu końcowi; gwarzyli sobie swobodnie o tem o owem, radzi, iż myśli smutne chorego rozerwali, gdy wtem ozwie się Czeczotka:

— Niech ci Bóg nagrodzi, miły bracie, i żeś jest łaskaw na mnie; ale skoro już mnie nie stanie, bądź-że miłościw i na moje sieroty, po Bogu poruczam ich twojej zacnej opiece.

— Wszystko to w rękę Boga, i jeżeli stać się ma, iż cię przeżyje, dzieci wasze znajdą we mnie podporę i życzliwe serce, a wszystkimi siłami postaram się być im pomocnym... Aliści, jeżeli już nieuniknione są wyroki boskie, jak twój presentyment wskazuje, o los dzieci bądź już spokojnym: jak to mówią, będą miały o co ręce zacześcić.

Po tym wstępie, dobywając papier z zanadru, prawil dalej:

— Chociaż, jak ci wiadomo, zrzekłem się promowania spraw wojewody...

— Co właśnie mam na sumieniu, gdyż uczyniłeś tak, nie chcąc występować przeciwko mnie, lubo nie miałbym ci tego za złe, ale zawsze mimowoli pozbawiłem cię dobrej kondycyi — przewrwał mu chory.

— Ej, oto mniejsza: „kogo Bóg stworzył tego nie umorzył”, a zresztą, czy to mnie dzieci obsiadły? Dam sobie radę i bez tego, a nakoniec była to moja fantazyja... Ale wracam do rzeczy ważniejszej, i jeżeliś mnie zaszczycił panie bracie, zaufaniem, powierzając na wypadek opieki nad dziećmi, to ci zwiastuję, że mam tu dla nich gotową fortunę: chociaż, jak ci wiadomo, rozstałem się z wojewodą, nie chcąc sprawy przeciw tobie prowadzić, jednak zachowałem na nim pewne wpływy, wskutek czego pan wojewoda, chociaż z uporu i fantazyi pańskiej na swoim postawił, ale nie chcąc obciążać sumienia cudzą krzywdą, zachowując przy sobie wioskę od was wygraną, ofiaruje wam, jak to za sprzedaż proponowałem, więcej niż potrójną cenę: i oto jest kwit do kassy krystynopolskiej na sto tysięcy.

Chory wziął papier w drżące ręce i konwulsyjnie poszarpał go na szmaty.

— Na miły Bóg, co czynisz panie bracie? — zawołał prawnik napróżno, chcąc zapobiedz dokonaniu w oka mgnieniu czynowi.

— Nie przyjmuję jałmużny pańskiej, po którą żaden Czeczotka ręki nie wyciągał — odparł chory z poważnym spokojem.

— Przecie to nie jałmużna, ale restytucya — rzekł Tomasz.

— Jakiem prawem, synu, spodziewając się stanąć przed Bogiem, niszcysz dobro twoich dzieci? — przemówił surowo zakonnik.

— Dobro niezapracowane nie jest mieniem, mój ojcze, ale jałmużną, której mającemu zdrowe ręce używać się nie godzi; zabraniam tedy mojemu synowi tknąć tych pieniędzy, a jeżeli go prawo wywłaszczyło z siedziby ojców, oczywiście ta do niego nie należy, zatem i pieniądze te są jałmużną.

— Ej, panie bracie — odparł Tomasz — niewczesna ta wasza drażliwość! Panom wolno mieć swoje fantazyje, a skoro za nie płacą, można je tolerować.

— A szlachcie nie można mieć swojej? — prawil z goryczą chory — A moja fantazyja taka, żeby krzywdę ofiarować Bogu za grzechy, a jałmużny nie przyjmować.

A zwracając się do syna kłęczącego przy łożu i kładąc mu rękę na głowie, mówił uroczyście:

— Pod klątwą zabraniam ci, synu, tknąć tych pieniędzy. Jeżeli prawo będzie dla ciebie sprawiedliwszem niż dla mnie, staraj się odzyskać dziedzictwo ojców i zachowaj je jak pięć naszych pokoleń chowało.

— Opamiętaj się, panie bracie. Chorobliwa to irytacya mówi przez ciebie, a powiedz sam: z czemże dzieci wasze w świat pójdą? — perswadował patron.

— Nie irytacya to przemawia, ale równość szlachecka, której pozbywamy się przez zbytne uleganie panom — mówił chory słabnącym głosem, a dalej zwracając się do syna, kończył rzecz rozpoczętą:

— Już mi niedługo... Posłuchaj, synu, ostatniej mej woli. Pod poduszką znajdziesz 170 czerwonych złotych; jest to oszczędność pięciu naszych pokoleń z tej mizeryi, którą nam wydarto. To dla ciebie i Zosi. Wiesz, żeście przeznaczeni dla siebie, ale nie poślubisz jej, aż na ziemi ojców, aż wrócisz i odbudujesz domek nasz dawny na Czeczocie; tymczasem będziesz jej opiekunem i uszanujesz...

Chory zakrztusił się silnie, głowa mu opadła z poduszek i nie domówił reszty. Patron chwycił go w ramiona, zakonnik pośpieszył z kordyałem, ale już się go nie dotrzeźwili. O. Hugon zawarł mu tylko oczy, przeżegnał zastygłe czoło, a kłękając przy pulpicie, ozwał się poważnie do przytomnych:

— Pomódlmy się za spokój tej znękaney duszy.

A działało się to nadranem, kiedy, wybawiwszy się dowoli, kawalkata szumnie na zamek wracała.

I znów, dla zwięzłości opowiadania, przeskoczmy kawał czasu. Rok zaledwie minął od śmierci starego Czeczotki, kiedy na plebanijce pod cmentarzem dwoje młodych przy temsamem ło-

zu modliło się za duszę starego zakonnika, który, oddawszy ostatnią posługę synowcowi, wysilony wiekiem i pracą, zajął był jego miejsce na łożu boleści.

Jaś z Zosią sami pozostali w domku pod cmentarzem; pogrzebawszy z poczciwością zwłoki księdza dziadka na rodzinnej niegdyś ziemi, obejrzeni się dokoła siebie, iż sami byli na świecie.

Dotąd podczas choroby zakonnika wszystko tu szło dawnym trybem: młodzi uprawiali skromny ogródek i niewielki szmat pola należący do plebanii, utrzymywali małą pasiekę, a co mieli na miejscu starczyło na skromne ich wyżywienie, do którego Jaś dostarczał zwierzyny, jako biegły myśliwy.

Nikt-by ich nie rugował z tej skromnej siedzibki, bowiem ona Czeczotka, będąca kaprysem pańskim, przeminęła, jak wszystkie w tym rodzaju i na coś się nowego przeniosła; tymczasem zaś strumień górski ujęty w karby, pozrywał kamienie i tamy, powywracał wątle budynki na chwile zabawy niemałym kosztem wzniesione, drogi kute w skale zasypał pisek, z klombów starannie ułożonych powyrwał drzewa: słowem, zaszło tam spustoszenie i ruina się stała, o którą nikt nie dbał, jak o wyrzuconą pestkę spożytego owocu, a na krystynopolskim zamku już inną jakąś niespodzianką powitano następną solenizacją pani, a zapomniano czy była na świecie jakaś Czeczotka, dla zdobycia której tyle gwałtów spełniono, zapieczętowanych śmiercią dwojga dawnych spokojnych właścicieli. Nikt więc nie pomyślał czy istnieją owe skały, po których dziś samotny potok się staczał; a że kilku chłopków wyniosło się z opuszczonego ustronia, szukając żyźniejszego gruntu, nikomu na myśl nie przyszło, że tam obok cmentarza schroniło się dwoje młodych, zaledwie wstępujących w życie.

Po śmierci księdza dziadka, chociaż obejrzeni się młodzi, iż sami zostali, ale nieswiadomi świata, nie wiedzieli dokąd iść mają, co ze sobą począć?—a nie przedsiębiorąc żadnych zamysłów pozostali tu, z dnia na dzień, trzaskając się tylko około skromnego wyżywienia; jak dotąd uprawiali mały ogródek zakonnika, doglądali pasieki, pracowali na małym zagoniku plebanowego pola, nie myśląc więcej o jutrze, zapomnieli, czy jest świat jaki poza temi skałami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE

Paryż, d. 2 Maja 1885 r.

Polityka i jej wpływy.—Wojna i krach.—Likwidacja i koniec miesiąca.—Gielda i świat.—Śniadanie Minotaura paryzkiego.—Pastelliści i ich wystawa.—De Latour; jego portret Maryi Leszczyńskiej.—Portret Stanisława Augusta, pędzla pani Lebrun-Vigée, w Muzeum Luwru.—Portrety z tego wieku.—Powtórna wystawa.—Przyjęcie pana Lessepsa w Akademii.—Mowa Renana.—Baron Rotschild jako kandydat do Akademii Sztuk Pięknych.—Nowa powieść z kluczykiem: *Roland*.—Dramat tendencyjny: *Rozwód Sary Moor*.—Straszny upadek sceny Odeonu.—Zabawna charakterystyka ko-mitetu Teatru Francuzkiego.

Non bis in idem—opiewa zasada prawna! Ale nieznośna polityka nie zważa często, ani na prawo, ani na lewo, a z zasad żartuje sobie poprostu. Oto, poraz już drugi jej niespodziane wybryki rzucają popłoch w giełdową trzodę, która uciekając strwożona, zostawia smutne strzępki złotego runa na wszystkich kołcach spadzistej drogi.

Po raz już drugi popłoch ten uderza na trzodę, w chwili najważniejszej właśnie, bo w chwili likwidacji w końcu miesiąca. Słódko, jeżeli łaska, o tych wyrażeniach giełdowych „likwidacja” i „koniec miesiąca”. Nie chcę i nie mogę rozwodzić się tu szeroko; będę związłym, oile tylko można.

Likwidacja — jest to ostateczne obliczenie; o tem wie każdy. Obliczenie to na giełdzie odbywa się pomiędzy tak zwanymi *Agents de change* — niby to *wekslarzami*, ale tutaj, jest to urzę-

dowy agent, za pośrednictwem którego odbywają się wszelkie wymiany, sprzedaże i układy pieniężne, na giełdzie. Z tymi więc, którzy się zabawiają w grę giełdową, zastrzegając, że dopiero, z końcem miesiąca, zapłacą różnicę przegranej lub odbiorą wygrane sumy—likwidacyi dopełniają agenci ostatniego dnia każdego miesiąca. W czasach spokojnych rachunki takie, za zgodą agentów i ich mocodawców, przechodzą często z miesiąca na miesiąc i to się nazywa: *faire un report*. Lecz kiedy wybuchnie zawierucha, wówczas następuje *exekucya*, to jest, że strona dłużna musi zapłacić, albo ogłosić swe bankructwo.

Otóż koniec Marca, jak koniec Kwietnia, pachniał prochem; jeżeli przypominacie sobie, 29 Marca, przysłała telegraficzna wiadomość o zdobyciu przez Chińczyków Lang-Sonu, a dnia 30 gabinet Ferry'ego upadł, jak niepyszny. Teraz znowu pogłoska o zajęciu Meruczaku, na pograniczu Afganistanu, rzuciła trwogę i wywołała *exekucya*.

Paryż, Londyn, Berlin, odczuły jednocześnie to gwałtowne wstrząśnienie.

Londyn i Berlin były w całej pełni owej—to sławnej likwidacji, a chwiejność, jaką zdradzało położenie wielu a wielu graczy najgrubszych, oddziaływała też i na tutejszą giełdę. Była to więc druga przyczyna wielkiego spadnięcia kursów, do której dodać potrzeba poprzednie, wątpliwe i niewygodne okoliczności — jako to: bankructwo kilkunasto-milionowe niejakiego p. Alfassa, zięcia znanych bankierów Camondo; zaległości banków egipskiego i tureckiego i t. d. Wszystko to złożyło się na bardzo wyprężoną sytuację giełdową, wpływając i na sytuację polityczną i społeczną, dla których w znacznej mierze ta czarodziejska 5-ciofrankówka jest i będzie zawsze alfą i omegą bytu.

W takich okolicznościach zwrócić publiczność z drogi trosk i obaw—byłoby rzeczą niepodobną... gdzieindziej, ale tutaj, każdy dzień starczy swemu zdaniu. Jak w zięjącym wulkanie coraz nowa fala lawy zastępuje lecącą w przepaść poprzednią falę, tak tutaj, codzienne danie musi zaspokoić nienasycone żarłocstwo tej publiczności, dla której wszystko jest dobre, co można schwytać na głodny żąb. Czystość i piękność, czy brud i ohyda, wszystko to jedno—dla tej niezem nieukojonej żądz.

Wystawa obrazów pastelowych urządzona w tych czasach miała tę stronę ciekawą, żeśmy mogli przekonać się i sprawdzić *de visu*, jak ta gałąź malarstwa, gałąź prawdziwie francuzka, uprawiana dawniej z takim zamiłowaniem i doprowadzona do nieźrównanego blasku—dziś, zaniedbana, ledwie przypomina zdaleka, z bardzo daleka, to co było ongi jej zaletą i chlubą. Komitet urządzający tę wystawę miał tę myśl doskonałą, iż powołał przed sąd publiczności tegoczesnych pastelistów wraz z mistrzami przeszłości. Sąd ten nie był wątpliwy. Jakkolwiek portrety dzisiejszych malarzy nie są bez wielkich zalet, szczególnie malowane przez Nittisa i Emila Levy'ego, błędna jednak i nie mogą walczyć o lepsze, z portretami De la Tour'a i Perronneau. Obaj ci malarze byli to artyści wieku Ludwika XV—wieku największego rozkwitu tej sztuki we Francyi. De la Tour, dzięki hojności muzeum rodzinnego swego miasta, St. Quentin, zajął na tej wystawie miejsce, należne swemu talentowi. Szkoda tylko, że muzeum paryzkie, które posiada nieocenioną perłę De la Tour'a — nieźrównany portret „Maryi Leszczyńskiej”, żony Ludwika XVgo—odmówiło przysłania go na wystawę. Ta nasza święta i poczciwa Maruchna, którą los ślepy zaprowadził do tego kraju i na ten dwór zatracenia, przedstawia się nam jak typ polskiej niewiasty: łagodna, uśmiechnięta, piękna wyrazem i prostotą oblicza, które pociąga ku sobie wszystkie serca. Jest to rzeczywiście ta święta, o której z taką rzewnością mówi nasz więzien z Magdeburga, w ostatnim swym „Listie”, umieszczonym w *Bluszczu*.

Mówiąc tu o portrecie Maryi Leszczyńskiej, nie mogę zapomnieć i o tym, który niedawno wszedł do Muzeum paryzkiego, jako dar jednego z sukcesorów, pani Lebrun-Vigée (Ludwika Elżbiety). Jest to wspaniałe popiersie Stanisła-

wa Augusta, malowane w Petersburgu, nakrótka przed śmiercią. Stanisław August, upudrowany, w królewskim płaszczu, ma ten charakterystyczny wyraz twarzy, który jest rękonią wielkiego podobieństwa i przypomina fizycznie piękne jego rysy, z najlepszych portretów, robionych w młodym i młodszych jego latach.

Dopóki jeszcze stoimy przy malarstwie, powiedzmy słówko o nowej wystawie w Pałacu Sztuk Pięknych. Znajdują się na niej portrety wieku. Mówiłem już w swoim czasie o pierwszej tego rodzaju wystawie, urządzonej w roku zeszłym; wywołała ona wówczas powszechny poklask publiczności, a szczególnie miłośników sztuki i samych artystów. Dzisiejsza, powtórzona wystawa, ma tem większe zalety, iż przedstawiając nam nowe i w wielkiej bardzo części wcale nieznanne, okazy mistrzów, uzupełnia to, co było niepodobieństwem materyalnem zgromadzić i zjednoczyć na poprzedniej wystawie. Wspominam tu o tem tylko pobieżnie, bo mam niemało rzeczy zapisanych na swoich tabliczkach; później pomówię o tem obszerniej.

Ciszę literackiej przystani w Akademii Francuzkiej, przerwało w sposób bardzo przyjemny dla publiczności uroczyste wejście na spokojne jej wody ruchawego parowca, nazwanego „Ferdinand Lesseps”. Nowy Akademik, choć już dobrze stary, zachował jednak, jeżeli nie świeżość, to wielki zasób młodej energii. Jako mówca, należy on do tej szkoły kwitnącej w Anglii, choć niepanującej tam wyłącznie, która unika wszelkiej deklamacji, wszelkiej malowniczości wyrażen, i jakby na potocznej rozmowie, opowiada skromnie i jasno to, o co rzecz chodzi—przysypując to zlekka pieprzykiem dowcipu, humoru, niekiedy sarkazmu. Tak też i tym razem „le recipiendaire” wywnął się ze swego zadania: związłe, jasno i dowcipnie. O swoim poprzedniku na akademickim krześle, Henryku Martin'ie, powiedział: że to był jego przyjaciel serdeczny; o sobie: że jest człowiekiem czynu przedewszystkiem, a o Akademii, że to przytułek myśli wolnej i spokojnej.—„choć nie obiecuję wam, dodał, że będę siedział spokojnie na mojem krześle”. Była to, takzwana „końcówka” (*le mot de la fin*), za jakimi Francuzi przepadają. To też huczne oklaski przyjęły ten wystrzał Lesseps'a—a dwaj jego kumowie, jakby dwa nawiasy: rówieśnik jego Wiktor Hugo i najmłodszy z Akademików, Edward Pailleron, między którymi zasiadł, przyjęli go w otwarte ramiona.

Odpowiadał Lesseps'owi Renan, tegoroczny prezes Akademii. Tyle już razy rytowałem tu jego sylwetkę, że dziś położę odówek na stronę. Wymowa jego nie odznacza się pięknnością organu, metalicznością dźwięku: stary to rozbity garniek, jak i Lesseps — ale w tym garnku są takie specyały, że można zawsze palce oblizać. Ten gruby, baryłkowany człowiek, jakby z sadła ulepiony, to zeicha-pek—a uszczypliwy, a rozumny, że aż miło!

„Obawiałem się niezmiernie, i ja i moi kolledzy uczeni,—tak rozpoczął swą mowę, zwracając się do Lesseps'a—żebyś się nie sadził na jaką akademicką mowę. Bogu dzięki! przestałeś na pogadance — i to nas wszystkich zachwyca, boś taki rozumny, mądry i t. d.” Resztę kadzidla wrzucił do kadzielnicy i okadził nowego akademika, jak zadżumionego!

Ale koniec tego przemówienia poruszył we wszystkich tak delikatną, tak czułą strunę, że to już nie była *końcówka*, ale prawdziwie świetne, jakby demostenowskie przemówienie.

„Ci, którzy byli trochę zdumieni wyborem pańskim do Akademii—mówił Renan—nie wiedzieli wcale: jaki to duch ożywia nasze zgromadzenie. Pan, naprzykład, uprawiałeś właśnie całe swe życie rodzaj bardzo trudny i dawno już, niestety, zapomniany u nas: wielkie czyny. Byłeś z liczby, bardzo dziś szczupłej, tych, którzy przechowali tradycją francuzką życia świetnego, chwalebne a użyteczne dla wszystkich. Polityka i wojna wymagają od nas zawiele, zbyt silnie zajmują umysły, abysmy je mogli zupełnie zaniedbać. Marszałkowie de Villars, de Belle-Isle, de Richelieu, de Beauveau, nie mieli więcej od wielmożnego pana zasług literackich. Odnosili zwycięstwa!

W braku tej zasługi, rzadkiej dziś, niestety! wybraliśmy mistrza nad mistrze pod względem zwalczonych trudności — „śmiałego gracza“, który zawsze potrafił wygrać swój zakład, kiedy chodziło o dojsście do wytkniętego celu możliwej rzeczy; mistrza, który z nadzwyczajnym taktem uprawiał tak świetnie, te wielką sztukę, dziś zatraconą — życia! Gdyby Krzysztof Kolumb żył za naszych czasów, wybralibyśmy go do Akademii. Ten który może być pewien, że w niej zasiądzie, to generał, który kiedyś wróci nam zwycięstwo!

Te słowa zniknęły w prawdziwym grzmocie oklasków. A nakoniec, po kilku zwrotach, i do nowego akademika, i do poprzednika jego, Renan tak skończył:

„Naród który umie kochać i wielbić swoich proroków, nie jest jeszcze na progu śmierci. Tym, którzy powiadają, że nie już nie bije w piersi tego ludu, że on nie umie kochać, że widok tylu upadków, tylu rozczarowań, stłumił w nim wszelką ufność w dobro, wszelką wiarę w chwałę i wielkość — my im pokazujemy ciebie, drogi kolego, i przypominamy im cześć której jesteś przedmiotem, te wieńce, te obchody, które zwyczaj chowa dla zmarłych, te wzruszenia serca, na konie, których doświadcza nasz lud, na odgłos imion: Wiktora Hugo i Ferdynanda Lesseps'a.

„Oto, co nas pociesza, co nas podtrzymuje, co nam pozwala wyrzec z przekonaniem, z zupełną otuchą: „Biedna kochana Francjo, nie, ty nie możesz zginąć; bo ty jeszcze kochasz i jesteś kochaną!“

Zapewne słuchając tych pieszczotliwych słów Renana o ludziach szabli, czynu i świetnego życia, którego Akademia przyjmuje z radością — baron Rotschild Alfons powiedział sobie: — „I ja jestem człowiek czynu i świetnego życia; mam pieniądze i kupuję i starzyznę i dzieła sztuki, kiedy mi się podobają, a choć — zem nie literat, to przecież najmniejszy świstek, podpisany mojem nazwiskiem więcej tu znaczy, niż cały Dykeonarz sławnych pisarzy.“

I widząc wakujące krzesło w Akademii Sztuk Pięknych po niedawno zmarłym Sommerardzie, baron postawił śmiało swoją kandydaturę. Przecież, pomimo przyjaciół i zwolenników sławnej Mamony, baron przegłosowany został, przez prostego, skromnego konserwatora przy Muzeum w Luwrze p. Heuzey. Nie żałujemy jednak pana barona; ma on wygodniejsze krzesło, niż owe utrechtskim axamitem wybite w Akademii, ma on się czem pocieszyć, bo ma to, czego mu żadna akademia nie da — miliony!

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Najnowsze odkrycia naukowe i wynalazki.

Magnetyzowanie myśli. — Przepowiednie meteorologiczne. — Wskazówki podane przez Gasparin'a i Fitz-Roy. — Czerwone Skóry w paryzkim ogrodzie aklimatyzacji. — Wagon powietrzny. — Dyament fenomenalny. — Kobieta 124 lata licząca. — Potwory z lasów brazylijskich. — Ropucha rogata.

(Dokończenie).

Administracja Paryzkiego ogrodu Aklimatycznego słusznie szcycić się może swą wspaniałą wystawą etnograficzną, w której pierwsze miejsce niezaprzeczenie zajmują dżicy Indianie Ameryki Północnej, zwani *Skórami Czerwonemi*. Należą oni do plemienia *Omaha*, zwanego też *Moha*, liczącego obecnie zaledwie 1.200 głów, a jednak plemię to obejmowało niegdyś ludność liczną, wytopioną przez cywilizatorów obu półkul, z barbarzyńskim okrucieństwem. Skóry Czerwone okazywane obecnie w Paryżu, zamieszkiwały stan Nebraska, liczący dziś 450.000 mieszkańców. Omahowie od stu lat zaludniali „wieś“ odległą o 65 mil od miasta Omaha-City, z ludnością 30.000 dusz. Trupę przybyłą do Europy składają: 10 mężczyzn, 5 kobiet i 4 dzieci. Imiona wojenne

Indian, noszących niemniej nazwy angielskie, przypominają dzieła powieściopisarzy, którzy nam pozostawili wzruszające epizody z życia tych Indian. Przejdźmy do tych, ze wszech miar ciekawych, postaci:

„Dym Żółty“. Jest nim starzec, były naczelnik plemienia, liczący 72 lat, z dumną postawą, podzielał dziś jeszcze niekiedy tańce owych młodych *bravosów*. Nosi on na szyi wielki medal, którym go obdarował prezydent Stanów Zjednoczonych. Głowę ma zawsze nakrytą kapeluszem okrągłym ze skóry wydry, z którego zwieszają się od progu dwie ozdoby wyszywane i wysadzone perłami, z boku zaś ma zawieszony róg antylopy.

„Lis“, przepysny tym dzikiego wojownika, postaci wyniosłej, natury nerwowej. Siła tego człowieka olbrzymia; głowę ma wygoloną, pomalowaną na żółto, uszy zaś powleczone barwą czerwoną.

„Oko mądre“, „Człowiek-wódz“, „Jeleń“, nie przedstawiają cech charakterystycznych.

„Wielkie Dziecko“, a raczej Wielki Śmieszek, mężczyzna kolosalnego wzrostu, zbudowany jak Herkules. Imię jego pochodzi stąd, że w rękę prawą otrzymał kilka postrzałów z broni palnej; okazuje też chętnie owe blizny; ponieważ tą ręką władać nie może, jest w oczach swych współbraci dzieckiem, gdyż nie jest zdolnym do łowów, ani do walki w boju.

„Zabójca Żółwi“, młodzieniec ośmnastoletni, o rysach łagodnych, skóra jego tak jest miękka, czarne oczy tak wyrazistemi, że mógłby uchodzić za kobietę.

„Ten, który wie“, człowiek niesłychanie zręczny i pojętny.

„Budowniczy Miast“, z wielką biegłością i wprawą buduje namioty i inne konstrukcje.

„Biały Łabędź“, młody, 23-letni wojownik, wysokiego wzrostu; całe ciało ma pomalowane na czerwono, z kropkami czarnymi z boków i dwiema prążkami czarnymi poprzecznymi.

Tłómacz i półmędrzec indyjski, zwany „John'em Pelcher'em“, jest typem starego wytrawnego myśliwca; szarawary nosi skórzane, jak każdy łowiec w jego ojczyźnie.

Wszystkie prawie roboty wykonywają kobiety; rysy ich dość regularne, oczy łagodne; brwi prawie nie mają.

Niektórzy z tych Indian mówią trochę poangielsku, jeden tylko „Ten, który wie“, zna doskonale ten język. Narzecze jego narodowe jest śpiewnem i wielce dla ucha przyjemnem.

Cała wieś, w której zamieszkiwali te Skóry Czerwone, została zniszczoną; przebyli Ocean na statku „Labrador“. Indianie ci wierzą w Wielkiego Ducha i w życie przyszłe.

Odzież tych ludzi stanowią skóry garbowane i wyszywane perłami kolorowemi; obuwie mają z tegosamego materiału. Długie, czarne jak smoła, ich włosy odznaczają się wielkim połyskiem.

Naczelnik plemienia „Dym Żółty“ nosi na szyi łańcuch złożony z pazurów drapieżnego niedźwiedzia polowego, Gór Skalistych.

Najwybitniejszą ich bronią jest topór wojenny.

Tańce i śpiewy tych Indian są wielce charakterystyczne; za instrument muzyczny mają bęben, któremu towarzyszą dźwięki jednotonne.

* * *

Ameryka jest ojczyzną najzuchwalszych pomysłów; obecnie funkcjonuje tam *wagon powietrzny*, przewożący pasażerów z jednego brzegu rzeki na drugi. Wagon ten zaopatrzony jest w cztery bloki przesuujące się po silnie wyprężonych dwóch linach metalowych. Zwykły sznur konopny służy do przeciągania wagonu z jednego brzegu do drugiego. Sznur ten jest dwa razy dłuższym od odległości przedzielającej dwie stacje; na jednym brzegu nawija się on na cylinder windy, poruszany przez maszynę, a jednocześnie odwija się na drugim brzegu i odwrotnie, gdy idzie o odbycie drogi w przeciwnym kierunku.

Stacje obie składają się z baraków drewnianych; dostaje się do nich po platformie przysługującej wagon. Jakiżkolwiek podróżni zajmą miejsce, wagon wyrusza w drogę powietrzną posuwając

się po linach metalowych; zresztą przewóz nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa.

Scientific-American, z którego czerpiemy tę wiadomość, nie zamieszcza bliższych szczegółów konstrukcji wagonu powietrznego, dodaje wszakże, że wiele podobnego systematu wagonów przebiega dość znaczne przestrzenie w niektórych okolicach Ameryki Południowej i w Nowej Zelandyi, gdzie rzeka Teremakau przepływa niedaleko małego miasteczka Hokitika zbudowanego na pobrzeżu morskiem wpośród wyspy Tawai-Punamu, będącej jedną z najważniejszych w Nowej Zelandyi. Rzeka ta w lecie jest płytką, natomiast w zimie prąd ma bystry i gwałtowny, tak, że przepływanie jej na promie zagraża wielkiem niebezpieczeństwem.

Z wagonu powietrznego użytkują głównie górnicy i kopacze, pracownicy nieokrzesani tych okolic, do których jeszcze nie przedarła się cywilizacja.

* * *

Syndykat kupców angielskich w Afryce Południowej przesłał do Londynu dyament fenomenalny.

Waży on 457 karatów; po oszlifowaniu będzie przewyższać pięknnością wszystkie dyamenty indyjskie, a waga jego wtedy wynosić może 220 karatów. Największymi z dotąd znanych dyamentów są, jak wiadomo, Koh-i-Noor, wagi 106 karatów, Regent, ważący 136 karatów i Orłów 195 karatów. Widzimy stąd, że nowo wykryty dyament pozyska przed nimi pierwszeństwo.

* * *

W okolicach Auberivé en Royans (Isère), żyje dotąd staruszka Marya Durand, urodzona d. 16 Maja 1761 r., mająca zatem skończonych lat 124.

Marya Durand żyje kosztem gminy, która ją utrzymuje od śmierci jej małżonka. Mieszkanie staruszki składa się z jednej izdebki; stary kufer z drzewa orzechowego, łóżko pokryte wełnianą kołdrą, piecyk żelazny, dwa kulawe krzesła i ubogie naczynia kuchenne: oto cały jej dobytek.

Twarz Maryi Durand jest szpetnie pomarszczoną, szyja i ręce wychudłe straszliwie. Pod skórą czarniawą, wyschlą, pargaminową, mięśni niema prawie; pozostały tylko kości, ścięgna, nerwy; na kości policzkowej przebija trochę krwi, tworząc małe czerwone punkta: to resztki objawów życia; a jednak, rzecz osobliwsza, na tej twarzy trupiej, błyszczy spojrzenie pełne młodzieńczego ognia.

Staruszka, niezupełnie jeszcze dziecięciawa, posiada pamięć co do terażniejszości, lecz mało co sobie przypomina z przeszłości. Niekiedy bredzi, utrzymuje bowiem upoczywie, że kilka razy *zmieniała głowę* i że zmieni ją raz jeszcze.

Marya Durand lubi wino, a przedewszystkiem koniak, chociaż się niem nie odurza; żywi się wyłącznie jarzynami, mięsa od lat wielu nie spożywa. Przed trzema laty staruszka zachorowała mocno; leki nie skutkowały. Wówczas na jej usilne żądanie podano jej wódkę, której też przypisuje swe uzdrowienie.

Codziennie o czwartej godzinie po południu staruszka udaje się na spoczynek, — sen też widocznie ją pokrzepia.

* * *

Rozległe lasy dziewicze pokrywające część Państwa Brazylijskiego, są ulubionem miejscem pobytu skrzeków najdziwniejszych i najpotworniejszych. Tam-to gnieździ się odrażająca grzbietoroda (*Pipa americana*) z głową krótką zakłętą, z grzbietem pokrytym licznymi jamami, w których wykluwają się młode; *agua*, kolosalnej objętości ropucha, z olbrzymiami gruczołami jadowitem i, z głową pobrudzoną całkiem grzebieniami kostnymi; dendrobaty, których jad używany bywa, jak utrzymują wędrowcy, do przygotowywania straszliwej trucizny, nasycającej strzały krajowców; *fryniski* z paszczą podługowatą, ostro zakończoną — i wiele a wiele innych gatunków.

Wpóśród tych zwierząt jednym z najosobliwszych jest niewątpliwie żaba olbrzymiego wzrostu, zwana *Ropuchą rogatą*. Potworny ten skrzek, pomieszczony obecnie w Paryżkiem Muzeum Historii Naturalnej, przedstawia żabę, u której krawędź powieki górnej przedłuża się w ten sposób, że tworzy róg. Paszcza tej istoty jest szeroko rozdartą, skóra na grzbiecie mieści w swej miąższości blaszki kostne. Barwa tych ropuch jest bardzo świetna, zmienia się wszakże odpowiednio do płci osobnika.

Zwierzę, będące w Paryżkiem Muzeum, przedstawia od paszczy aż do przeciwległej kończyny ciała szeroki pas pięknego zielonego koloru, rozchodzący się na boki. Szczeka górna zabarwiona jest z brzegów zielono, dolna zaś, żółto-zielonawa, przedstawia barwę niższą, a część oka oraz róg, są zielone, z wązkim paskiem czarnym; paski zielone występują na czółkach tylnych; miejscami wolne między paskami reprezentuje kolor brunatny, korale złote otaczają oczy.

Według opinii ks. Maksymiliana de Wied samców można rozpoznać po barwie pomarańczowej na głowie, grzbiecie i bokach, a z przodu każdego oka widnieje plama czarna; tegoż koloru pas biegnie od oka do łopatki i z każdej strony grzbieta.

Ropucha rogata znana jest w Brazylii pod nazwą *Itania*, żyje w wielkich lasach gorących i wilgotnych, poszukując bagnisk. Jest to zwierzę bardzo żarłoczny, karmiący się małymi ssakami, ptakami, mięczakami i mniejszemi od siebie skrzekami. Dzięki potwornie szerokiej paszczy, ropucha rogata może pochłonąć ofiarę tejsamej co ona wielkości. Głos jej wielce donośny, skrzeczenie jednotonne.

Ropucha rogata w Paryżkiem Muzeum objawia wszelkie cechy zwierząt nocnych; w ciągu dnia zagrzebuje się w ziemnej norze, z której wychodzi dopiero po zachodzie słońca. Jak wszystkie zresztą skrzeki wielkiej objętości, może ona ugryźć boleśnie człowieka.

W. Niewiadomski.

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Maju 1885 r.

Przesyłając w tym roku z naszego Księstwa peryodyczne korespondencje, potrzeba zbyt często żalobny głos podnosić, jakby z cementaryska, na którym coraz-to nowa wyrasta mogiła. Niema zarazy ni moru, a śmierć jednak wśród nas gospodarując, wrywa co najlepszego, zabiera co najdroższego. I znów kilka wybitnych osobistości pogrzebaliśmy w ciągu ostatniego miesiąca. Z panią Rozalią z hr. Ponińskich Łączyńską zniknął typ skończony staropolskiej matrony, twardej dla siebie a dla drugich hojnej, litościwej, wyrozumiałej. Niewiasta ta wielkiego a podniosłego serca, stanowiła jądro i oś niezmiernie licznej rodziny. Sama bezdzietna, matką była, nie tylko krewnych, ale i wszystkich smutnych, potrzebujących jałmużny serca, słowa lub czynu. Zza grobu jeszcze miłosierdzie jej obfite a szlachetne dary zapewniło najprzedniejszym naszym instytucjom: Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Naukowej pomocy. Wielki to ubytek dla społeczności wielkopolskiej, w której coraz mniej matron godnych tego szczytnego miana.

Na kilka dni przed tą szanowną osobistością zgasł w uroczej swej siedzibie kobyłpolskiej, gasnący już od lat kilku sędziwy Józef hr. Mycielski. Czemu Willanów dla Warszawy, Krzeszowice i Wola Justowska dla Krakowa, tem Kobyłpole było od lat dawnych dla Poznania: celem przechadzek, majówek, wycieczek gimnazjalnych, najmiłszym salonem towarzyskim, domem naocześnie polską gościnnością zawsze otwartym. Dom ten stał urokiem, szlachetnością, wykwiśniętą uprzejmością gospodarstwa, bo Izabella z hr. Brzostowskich Mycielska doniedawna

przy boku małżonka utrzymywała piękną tradycją tej wyjątkowej miejscowości, gdzie wdzięk przyrody spotegowany rozumną kulturą, oprował w stosowne ramy to sędziwe i szanowne stadło. Z kolei oboje zasnęli w Panu po zasłużonym życiu i spoczęli obok siebie w starodawnej gostyńskiej świątyni, istnej nekropoli rodziny Mycielskich, której trumny zalegają podziemia, niegdyś przez Konarzewskich fundowane.

Najcięższą atoli stratą z ostatnich miesięcy jest, nie dla naszej tylko dzielnicy, zgon prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, s. p. Stanisława Koźmiana. Aczkolwiek przed rokiem paraliżem tknięty, mógł doniedawna jeszcze zasłużony prezes czynnie załatwiać bieżące sprawy umiłowanej przez się instytucji. Dopiero z początkiem bieżącego roku choroba, szybkim postępującym krokiem, blizki zapowiadała już koniec. Urodzony w 1811 roku, w dziedzicznej wsi Wronowie pod Lublinem, s. p. Koźmian był synowcem kasztelana i biskupa, a bratem x. Jana Koźmiana. Wypadki rychło przerzuciły go na obczyznę. Tam, gdy fala rozbitków przeważnie nad Sekwaną osiadała, on do Anglii pośpieszył, liczne zawiązał stosunki i zapłonął owym kultem dla Shakespeare'a, w którym do śmierci już wytrwał. Od 1849 roku stale zamieszkał w Poznańskim, zrazu na wsi, później w stolicy. Tu go niebawem powołano do piastowania godności vice-prezesa, a następnie, po śmierci Libelta, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Dostojeństwo to przyjął jako czynne zobowiązanie do ustawicznego trudu — i póty się krzątał, pisał, upominał, póki nie doprowadził do skutku budowy gmachu imienia Mielżyńskich na pomieszczenie cennych zbiorów instytucji, której przewodniczyła miłość, jaką otaczał ukochane swe Towarzystwo. Objawiała się ona ciągłym czynem, bezinteresowną służbą, a mianowicie rozumem kierownictwem, które usiłowało prace, zachody i dążenia Towarzystwa wprowadzać na dobre, żywotne drogi. Jednocześnie obok Shakespeare'a dostarczał istnych pereł prassie peryodycznej, raz po raz rozpierzchnę prace wierszem i prozą ogłaszając drukami; to znów upamiętniał swój pobyt w Anglii książką pod tytułem: *Anglia i Polska*, lub z wędrowki po Szwajcaryi uroczę kreślił wspomnienia. Pogrzeb tego druha serdecznego Zygmunta Krasińskiego, szybko nastąpił po pogrzebie przyjaciela Mickiewicza, Odyńca. Znikli już dawno wieszczki przewodni, dziś ich drużbowie szczerzy znikają. Na trumnę Koźmiana popyły się hołdy i wieńce od Towarzystwa Przyjaciół Nauk, od Akademii Umiejęt., od Wszechnicy Jagiellońskiej i t. d.; najrzewniejszy, złożony ręką sędziwego Aug. Cieszkowskiego, upamiętniał złotą przyjaźń młodości napisem: „od zmarłego Zygmunta i żalobnego Augusta”. Ruszył kondukt żalobny, przy licznym udziale bolejących nad tą prawdziwie powszechną stratą, a po hołdzie miasta naszego, nastąpiło zakończenie pogrzebowego obrządku w cichym wiejskim kościółku w Brodnicy. Nad grobem zabrzmiał głos hr. Stanisława Tarnowskiego, który, przybywszy pożegnać w imieniu Akademii Umiejętności jednego z najznakomitszych jej członków, pięknie i wymownie dał folę uczuciom, jakie wywołać musiał obraz tak pełnego, pracowitego i zasłużonego żywota. Z myślą o takich jak śp. Stan. Koźmian, uwydatnił mówca ową dojrzałość społeczną, która znamionuje naszą dzielnicę i, jak chrzest Mieczysława, ztąd się szeroko rozchodzi. Przemowa ta, arcydzieło krasomówcze, głębokie wywarła wrażenie na stojących wokoło uczestników żalobnego obrządku. Jeśli w hołdzie dla cnoty zmarłego znalazło się i zaszczytne świadectwo dla stron, w których żył, działał i umarł, świadectwo to zobowiązuje na przyszłość. Śliczny mianowicie był ustęp, w którym mówca opowiadał, jak po rozczarowaniach przełomu, który przypadł na połowę bieżącego stulecia, gdy wszędzie wszyscy myśleli tylko o tem co będzie, co trzeba zrobić *pojutrze* — w Księstwie garstka dzielnych zaczęła pracować i myśleć o dniu *dzisiejszym*, aby *jutro* przysposobić: i to *jutro* dlatego dziś, choć ciężkie, ale nie bez zasobu w moralne siły.

Ze śmiercią s. p. Stanisława Koźmiana zamy-

ka się poniekąd piękny okres naszego piśmiennictwa. Należał on do pokolenia, które wydało Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego; był przyjacielem Szopena, obracał się w tem kole zaczerpniętym wyższych duchów, które nas już tak dawno odbiegły. A mimo różnicy epok i nastroju, zamiast z goryczą patrzeć na skarłowaciałe społeczne umysły, pilnie śledził tętna bieżącego ruchu myśli czy nauki, pieśni czy badań dziejowych. Pogoda i spokój łagodny: oto przezwodnie cechy zacnego męża, który przez wiele lat, wraz z kolegą swym z ław szkolnych Lucyanem Siemieńskim, trzymał w Poznaniu berło krytyki literackiej i doostatka przyjmował sądem wytrawnym, trafnym i zdrowym rozgłośniejsze plody ojczystej myśli i mowy.

Niezastąpiona to w społeczności naszej próżnia: po głośniejszych i hałaśliwszych mężach szczerba przed się zamknie i wyrówna, aniżeli po cichych pracownikach, co gmach codziennego trudu wznosili z niczego — powoli, i mrówczą skrzętnością pomnażając kapitał duchowy swych ziomków.

Sejm prowincjonalny obradował świeżo w mieście naszym, pod łaską barona Unruha z Babimostu, a vice-marszałkowstwem hr. Franciszka Kwileckiego. Skutkiem zapewne dowolnych urzędzeń okręgów wyborczych Polacy stanęli w mniejszości: na 50 członków sejmu, rozporządzając za ledwie 22 głosami. Obok posłów wybranych jest w sejmie czterech *urodzonych*, to jest mających prawo własne, a nie na mandacie wyborczym oparte. Są to książę Thurn-Taxis, ks. Sułkowski, ks. Radziwiłł i hr. Raczyński. Sprawy czysto prowincjonalne przechodziły z kolei pod obrady sejmu, który nie mógł uwzględnić wszystkich projektów podań i petycji, ani też zaspokoić choćby ważniejszych żądań o zapomogi dla instytucji, mających poważną racją bytu, a szczupłe środki wobec rosnących potrzeb, bied i niedoli; ani urzędowa dobroczynność, ani chrześcijańskie miłosierdzie nie rozporządza już dostatecznymi środkami, aby zażegnać wychylające się zewsząd złowrogie widmo nędzy.

Podobało nam się niezmiernie zawiązane świeżo w Wrocławiu stowarzyszenie, zobowiązujące się do dostarczania w jeden punkt środkowy wszystkich nieużytków, szczątków i resztek, jakie się w każdym domu obficie znaleźć mogą, jak: stare rękawiczki, wypisane piórka żelazne, czubki od cygar, metalowe pokrywki butelek od win francuzkich, marki pocztowe, stare papiery, bilety kolejowe, pudełka od cygar i zapalek, kapsułki od wystrzelanych naboju i t. p. Wszystko to, w większej ilości zgromadzone i odesłane do centralnego zarządu katolickiego stowarzyszenia dobroczynności, łatwo spieniężyć się daje, przysparzając funduszy znacznych na cele miłosierdzia. Obliczono iż w Poznanskiem można by odrazu tym sposobem stworzyć z *niczego*, zaiste, fundusz przechodzący sto tysięcy marek, byle wszystkie domy chętną do tego dzieła *chiffonierów* przyłożyły rękę.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na nowo otwartych przystankach nadwileśkiej drogi żelaznej sprzedaż biletów zostanie powierzona już bieżącego roku w lecie kobietom.

— W Pradze Czeskiej, gdzie dotąd istniała tylko niemiecka szkoła gotowania, założono niedawno szkołę czeską, zarządzaną wyłącznie przez komitet pań czeskich, których składkowym groszem całe przedsięwzięcie zostało wniesionem. Niemieckie i to nawet Berlińskie, nie Wiedeńskie pisma kobiece wyrażają się o nowym zakładzie ze źle ukrywanym przekąsem, pisząc, że ta druga szkoła nie stanie się wcale dla pierwszej niebezpieczną, gdyż zakładające ją Niemki Praskie, bynajmniej nie liczyły na współdziałanie Czeszek, co jest bardzo po-

chlebem dla tych ostatnich wyznaniem. Dowodzi to, że pomiędzy Czechami a Niemcami istnieje niezgruntowana przepaść, niedopuszczająca żadnych ani w złem, ani w dobrem stosunków. Tak też być powinno: w niczem związku, w niczem zętknięciu, i takiemu tylko stanowi rzeczy zawdzięczyć mogą Czechy swoje dzisiejsze podniesienie uczucia narodowego. Oddziaływanie otoczenia to nie raz niebezpieczna, mimo woli i chęci naszej działająca potęga; pewnym uczuciom ścierają się przez przyzwyczajenie, jakgdyby kanty ostre, przestaje się czuć dość żywo pewne wstręty; można też pomimowoli i wiedzy osuwać się po pochyłości złego zesłabnięcia. Kobiety niemieckie oddały cześć kobietom czeskim przez owo skonstatowanie ich usposobienia.

— Międzynarodowa wystawa pracy kobiecej w Anglii, w Bristolu, okazała się przeważnie wystawą pracy kobiet angielskich, szkockich i irlandzkich. Z obcych okazów zwracała szczególniej na siebie uwagę niezmiernie delikatna przędza i wykonane z niej tkaniny nadesłane z Islandyi. Do najciekawszych okazów należały także koronki irlandzkie, zwłaszcza „Yoghal point lace”, wyrabiane w klasztorze Ofiarowania Najświętszej Panny, gdzie zakonnice mają szkołę koronczarstwa, liczącą stale 100 uczennic. Z działu sztuki zajmująco przedstawiała się niemal galeria portretów kobiecych, pędzla także kobiecego. Oprócz wielu portretów kobiet historycznych, znajdowały się portrety wszystkich dziś sławnych kobiet angielskich: wszystkich filantropki, pisarek, wyższych sztukmistrzyń, kobiet ozdobionych stopniami uniwersyteckimi, przytem sześć fotografii kobiet włoskich, które w wiekach dawnych były professorkami w Uniwersytecie Bolońskim. Złączyły się z wystawą odczyty o pracy kobiet we wszelkich możliwych kierunkach, z którymi występowały po kolei prelegentki.

— Guiseppina Cattain, Włoszka, która w roku zeszłym ukończyła studia medycyny na Uniwersytecie Bolońskim, ze stopniem doktora, otrzymała nagrodę imienia Wiktora Emanuela na konkursie, ustanowionym przez wydział medyczny wspomnianego uniwersytetu. Konkursów takich było już kilka i wszystkie spełżyły, nie przyznając nikomu nagrody. Pierwsza, której udzielono, dostała się kobiecie.

— Międzynarodowa konferencja mająca na celu opiekę na młodemi Szwajcarkami, które jako nauczycielki, lub bony, wyjeżdżają z kraju, odbyła się w Neufchatel i między innemi uradziła postanowienie, obowiązujące każdą taką Szwajcarke. Jest ona obowiązana zaraz po przybyciu na miejsce dać znać o sobie najbliższemu konsulowi, który zapisze ją na listę odpowiednią i według przepisanej formy ściągnie z niej potrzebne informacje. W razie zamiedbania się pod tym względem traci ona prawo do opieki konsularnej.

— Doroczna nagroda poezji, udzielana przez akademię w Tuluzie, została przyznana młodej pannie, hrabiance de Milhau za wiersz: „dzbanek mleka.” Ma to być bardzo piękna, smętna poezya, napisana na temat tej samej bajki Lafontaine'a, która zpod pióra Niemcewicza wyszła pod tytułem: „Gospodyni ze Spodziewaic.” Marzymy, roimy świetnie, lecz dzbanek mleka pęka i... nic nie zostaje! Hrabianka Zuzanna de Milhau mieszka z matką w Paryżu i należy do świata wyższej arystokracji; wróżą, że wyrobi się z niej szlacheckiego nastroju poetka, byle tylko świat—wielki świat elegancyi i strojów nie podciął skrzydeł natchnieniu i nie zniżył lotu.

— Krzyż Legii Honorowej został przyznany dwom francuzkim Siostrom Miłosierdzia, za poświęcone pielęgnowanie żołnierzy w wojskowym

szpitalu w Oranie podczas cholery: siostrze Marcie (Breysse) i siostrze Henryce (Saby). Medal złoty otrzymała dobrowolna pilnowaczka Sicre. Medale złote otrzymały również za pielęgnowanie i ratowanie cholerycznych: Siostra Rozalia, dyrektorka szpitala miejskiego w Carcassonne, hrabina Markowa d'Aubigny d'Assy, oraz p.p. de Balthasar, Prot (prezydentka cholerycznego schronienia sierot w Marsylii) de Cassonac, Bois Herbert. Wielu innym przyznano medale srebrne i podziękowania. W ogóle kobiety francuzkie zaznaczyły się wśród klęski cholery bardzo szlachetną odwagą i poświęceniem. Dzienniki zagraniczne—angielskie, zwracają uwagę, że prąd ten dobry okazywał się przeważnie w sferach religijnie usposobionych, między ludem wiejskim, z którego wychodzą najzasłużeńsze siostry miłosierdzia i między paniami ze starych rodzin szlacheckich.

— Nagrodę cnoty Montyona za produkcje literackie otrzymały dwie kobiety: p. Samson za dzieło: „Wychowanie w rodzinie” i utalentowana autorka p. Bentzon, za powieści „Tony”. Ponieważ była ona drukowana zeszłego roku w rozposzczelnionem u nas piśmie „Revue des deux mondes” publiczność nasza ją zna. Rzecz ładna, dobrze napisana, ale nasze społeczeństwo nie dałoby nagrody cnoty tej powieści, która zawsze ociera się o skandal. Jest tysiące przedmiotów czystych, z wyższą, szlachetniejszą, silniejszą walką o cnotę i na takim temacie osnute dzieło może jedynie mieć prawo do podobnej nagrody.

— Szlachetna irlandzka filantropka, miss Roberts, zaprowadziła w bardzo biednej, dzikiej okolicy Irlandyi, w północno-wschodniej stronie Ulsteru: „Rosses” naukę wyrobów drutowych między kobietami rodzin rybackich. Przemysł ten rozwijał się szczęśliwie i wiele rybaczek zarabia w ten sposób dość, aby w czasie zimy, gdy mężczyźni zarabiać nie mogą, odpędzić śmierć głodową od rodzin swoich. Tej—to kobiecie, której to jest dziełem, należy nagroda cnoty.

— Kobiety ze Stanu Północnej Ameryki: Virginia, postanowiły wzniesić w Richmondzie pomnik dzielnemu wodzowi, walczącemu mężnie w wojnie Południa z Północą. Na koszt pomnika postanowiono wyłożyć 150,000 dolarów i prezydująca komitetowi pań, które się zajmują tą sprawą, miss Sara Randolph ogłasza konkurs na plany pomnika z dwoma nagrodami: 2,000 dolarów za plan, uznany jako najlepszy; 1,000 za drugi z kolei. Te Amerykanki, czczące w sposób podobny pamięć walecznego rycerza ojczystej ziemi zapewne nie są elegantkami i dla tego ogromna summa stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów mogła się zebrać, odjęta strojowi, i zbyt kownej zabawie, zbyt kownej wystawie salonów swoich. Daj Boże szczęście tem dostojnyml...

— Berlińskie stowarzyszenie kobiece: „Lette Verein”, o którym można powiedzieć, że należy do wzorowych i cieszy się też zasłużenie najszczęśliwszem powodzeniem, zebrało się w dniu 1 Maja na doroczne Zgromadzenie generalne, na którym została zdana sprawa z rocznej działalności stowarzyszenia. Do szkół jego uczęszczało 1,080 uczennic, z tych uczyło się: w szkole handlowej 83, w szkole rysunku na porannych jej oddziałach 91, reszta 906 uczennic, rozdzielało się między szkołę rzemiosł, szkołę gotowania i szkołę prania i prasowania. Dochód szkoły handlowej, szkoły rzemiosł i szkoły rysunkowej, był 37,840 marek, wydatek 36,660 marek, tak, że pozostało zysku, stanowiącego zapas stowarzyszenia 1180 marek. Zakład Wiktorii (Victoria Stift) odpowiadający naszemu *Schronieniu Nauczycielek*, był przez 227 osób dłużej, krócej za-

mieszkiwany i miał dochodu 28,006 marek, wydatku 27,541. Szkoła prania i prasowania, w której 70 uczennic uzdalniało się w zwykłym praniu i prasowaniu, a 19 w praniu i apretowaniu koronek, miała dochodu 10,361 mar., która-to summa wytworzyła się niemal w całości z zapłaty, pobieranej od prania i prasowania, które z miasta nadsyłane było. A że wydatek był 9,520 marek, więc nietylko wydatki szkoły zostały pokryte, ale okazał się zysk, powiększający mienie towarzystwa. Restauracya kobieca (Damen Wirthshaus) połączona ze szkołą gotowania, cieszyła się powodzeniem. Dziennie jadało w niej 140, za najmniejszą opłatą 75 feni, za pojedynczy obiad, 60, gdy był spożywany miesięcznie. Szkoła gotowania miała 70 uczennic, którym obiady jedzone w restauracyi służyły za pole nauki i wprawy. Dochodu z restauracyi było 36,917, wydatek 36,637 marek, zysk zatem był, choć bardzo mały, niecałych 300 marek, niemniej nie było straty.—Towarzystwo nie zakładało sobie bynajmniej, a nawet nie chciało ciągnąć zysku z jedzących tu kobiet, które wszystkie pracują na siebie. Przytem restauracya kobieca, oprócz celu ułatwienia warunków życia samotnych kobiet, ma drugi jeszcze i ważny bardzo: możność prowadzenia szkoły gotowania i praktycznej jego nauki. Wictoria Bazar, czyli bazar, pośredniczący między publicznością a pracującymi kobietami, miał zwiększenie obstalunków na sycie bielizny, hafty i tym podobne przedmioty, o 500 marek, co jest dowodem, że wykonywana tam robota jest dobrą i ztąd znajduje odpowiednie uznanie między publicznością. Pracownia kunsztownych robót ręcznych przyjmuje zamówienia tak według wskazanego lub w pracowni obranego wzoru, jak również zaczyna roboty, ułatwiając je tym sposobem mniej wprawnym osobom, i wykończy zaczęte. Początkujący to jest dopiero zakład, jednak miał już obrotu na 7,500 marek. Biuro stręczek stowarzyszenia odebrało 5,500 listów i odpowiedziało na wszystkie; zapisało w registrach swoich 2,932 osób miejsca szukających i 1,566 dających to pomieszczenie, miejsc danych było 670. Szkoła zecerek zajmowała ich stale 36, zarabiających od 16 do 22 marek miesięcznie, w czasie roku zarobek ich wynosił 22,000 marek. Ogólny obrót wszystkich kas towarzystwa wynosił 179,413 marek.

Warszawa liczy blisko połowę ludności Berlina, czyżby zatem podobne towarzystwo kobiece nie mogło istnieć na takich jak tam warunkach—przepełniając liczbę uczennic i sumę kapitału obrotowego? Jeżeli to może być tam, dlaczegoż nie miałyby być tu?—bo w tym zakresie pracy dobroczynnie społecznej, już żadnych różnic między Berlinem a Warszawą niema.

— Wiedeńskie stowarzyszenie pisarek i sztukmistrzyń, mające na celu ułatwienie kształcenia tych, które poczuwają w sobie talent, dalej pomoc wzajemną w wielorakich kierunkach, już się zawiązało w węzeł pierwszy, i wytworzyło z łona swego komitet, który składają: utalentowana poetka Betty Paoli i Baronowa Marya von Ebner Eschenbach, szlacheckiego polotu powiesciopisarka.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się arkusz 8-my powieści pod tyt.: *Sieroca dola*, przez autorkę powieści *Silny duch*.

TREŚĆ. Pogawędka. — Ś. p. Biskup Kazimierz Wnorowski, zyciorys, (wspomnienie), przez M. Ilnicką. — Czeczotka. Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Nowiny paryżkie. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Poznań. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Sieroca dola*, przez autorkę „*Silny duch*”. — Przegląd mód. — 29 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

DO DODATEK DO BŁUSZCZU.

Nr 19.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Błuszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

PRZEGLĄD MÓD

Magazyn panien Kuhnke. — Modele kapeluszy. — Kostiumy. — Wyprawa. — Wizytki kaszmirowe.

Zwiedziliśmy magazyn pań Kuhnke, które po powrocie z Paryża, pokazywały nam dużo rozmaitych nowości. Prawie wszystkie kapelusze zwane dotąd wiązaniami, jakkolwiek bywają obecnie wiązane i nie wiązane, są z wysokimi główkami i wysoko nad czołem podniesionymi w żąb rondkami, wiązane lub bez brydów. Kapelusze okrągłe wszystkie prawie z małymi rondkami, już to w żąb podniesione nad czołem, już spuszczone na czoło, lub zupełnie okrągłe; są jednak fasony z dużymi rondkami, ale u wszystkich główki wysokie; do ubrania tak pierwszych jak drugich używają tiulów w deseń, gaź gładkich i przebarbianych kolorami, lub złotem, etaminy w niewyraźnych kolorach w pasy. Bardzo piękne kwiaty zdobią wszystkie kapelusze panien Kuhnke. Dużo jest także skromnych, przybranych wstążką z połączeniem koronki lub gazy.

Opiszemy więc kilka modeli paryzkich: Kapotka z czarnej koronki, nad czołem rulon z pasowego aksamitu, na to spada czarna koronka fantazyjnie ułożona, główka i brydy z koronki; z tyłu główki żąbki z pasowego aksamitu, nad czołem pęk gałązek sznelowych, zakończonych gwiazdkami z bardzo świecącego dżetu. Kapotka ta mniej podniesiona nad czołem i stosowniejsza dla pań średniego wieku. Druga kapotka z ażurowej słomki, była fasonu zwanego „bébé“, nad czołem rulon koloru mchu, nad nim falbanka ze słomki, pomiędzy rulonem i falbanką gałązki z liściem i kiciem owsa, główka ażurowa opasana aksamitką, brydy aksamitne, z wierzchu cztery piwonie różowe od jasnej do najciemniejszego koloru. Kapelusz „Mars“ z koronki czarnej z główką wysoką, mocno namarszczoną. Rondko do góry podniesione i podgarniowane pasową krepą, pęk pukli pasowych i dżetowe pączki, zdobią wierzch główki, brydy koronkowe. Kapotka „Teodora“ ze słomy szamoa, główka z gazy w pasy niewyraźnego koloru, złoty dyadem tworzył rondko, bukiety tulipanów w pasowe paski i szarfy ze wstążki szamoa dopełniały przybrania. Ładny był kapelusz okrągły ze spiczastą główką, rondko podniesione w żąb, główka ubrana chusteczką gazową koloru „écarne“, haftowaną w różyczki i puklami ze wstążki. Kapelusz taki zowie się „Auvergnan“.

W fasonach sukien ogólnie panuje nadzwyczajna prostota co do formy; potrzeba też zręczne-



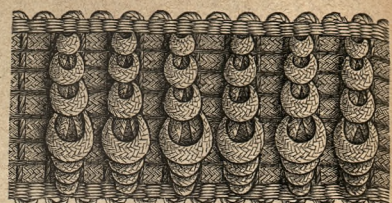
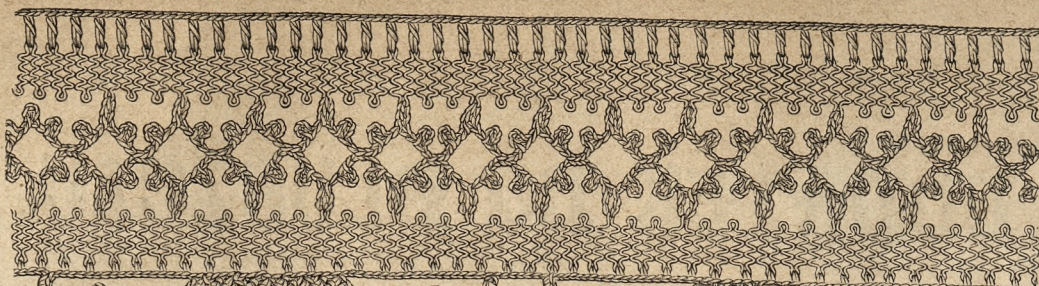
Nr 2. Paltocik z repsu „ottoman“ Prząd. (Do ryc. 3). Opis pierw. str. tabl.

Nr 1. Okrycie krótkie z wełnianego materiału. Prząd. (Do ryc. 22 w Blu Nr 20).

Nr 3. Paltocik z repsu „ottoman“ Plecy. (Do ryc. 2).

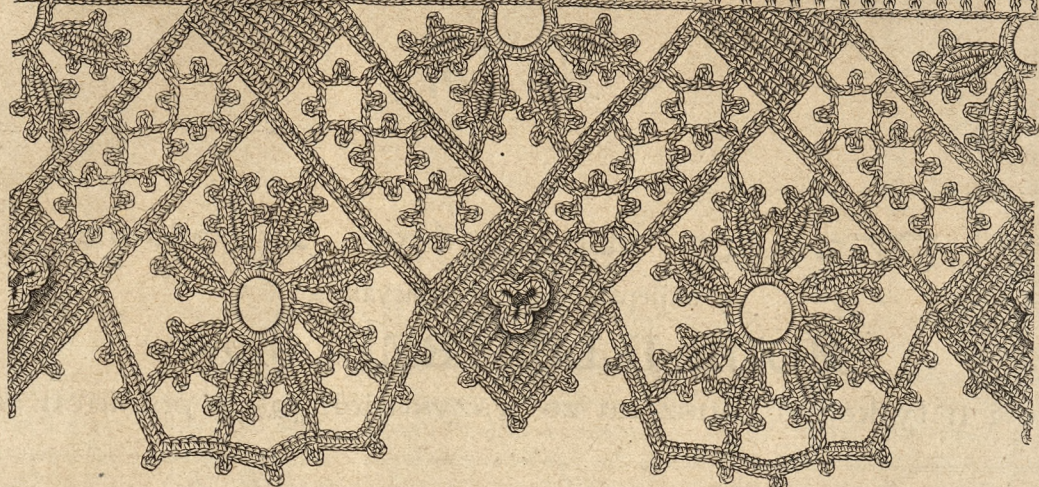


Nr 4. Szlak do kapeluszy. Wielkość naturalna.

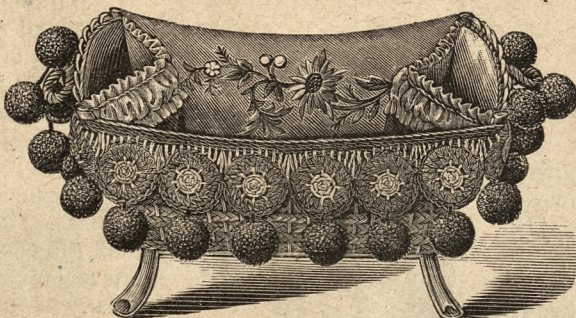


Nr 5. Szlak do kapeluszy. Wielkość naturalna.

go kroju i umiejętnego połączenia materiałów i kolorów, aby stworzyć piękną całość. Oprócz kilku skromnych wiosennych sukien, oglądali my wyprawę, która będzie odesłana na Wołyń. Ze skromnych sukien, które nas w tej porze najbardziej interesują, opiszę dwie: Pierwszą była z materiału w supelki, przerabianego złotem; spódnica ułożona w kontrafaldy, stanik krótki; z tyłu od plec równy bryt przewiązany szeroką kokardą ze wstążki. Żakietka z grubszego materiału, z tyłu krótka, z przodu dłuższa, zapięta u góry na trzy duże guziki metalowe; do tego kapeluszek okrągły słomkowy, przybrany gazą i pięknymi szpilkami. Druga sukienka z bezu, z przodu lekko, z tyłu suciej nadmarszczona i przybrana u dołu kilkoma zakładkami, z przodu fartuszkami (tablier), z tyłu szarfą z podwójnie złożonego „surah“. Do tego kapeluszek „Auvergnan“, przybrany gazową chu-



Nr 6. Koronka do sukien fabrycznym szlaczkiem i robotą szydełkową.



Nr 7. Koszyczek do roboty. (Do r. 2 w B. Nr 20).

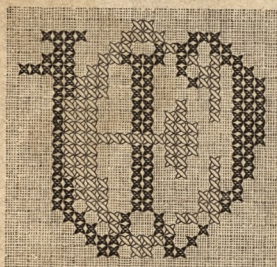


Nr 9. Pasmańterya z perełek i dwubanego sznurka. 2/3 naturalnej wielkości.

Nr 8. Pasmańterya z perełek i jedwabnego sznurka. 2/3 naturalnej wielkości.



Nr 14. Czwarta część haftu do rycy 7 szlakiem szydełkowym Blu. Nr 20.



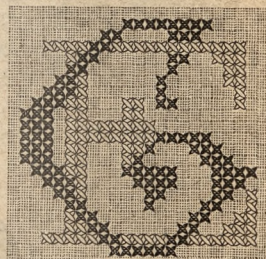
Nr 10. Znak do bielizny.

steczką. Suknia ślubna z atłasu „merveilleux“ i białej mory; spódnica atłasowa ogarniowana falbanką i koronką,

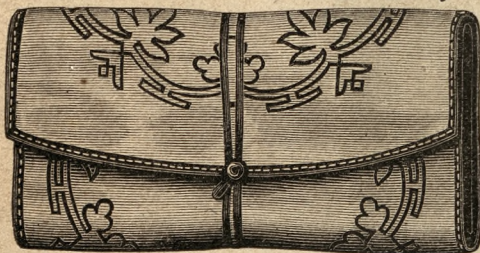
z przodu fartuszek z koronkowego materiału, osztytkowany koronką, stanik morowy połączony z powłóczytym trenem, pod-

machoni i wszelkich odcieni koloru wydry lub mchu.

L. C.



Nr 11. Znak do bielizny.

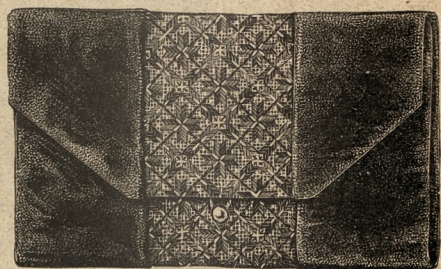


Nr 12. Podróżny necessaire do roboty. Złożony. (Do ryc. 3 w Blu. Nr 19). Wzór odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 54—55.

Koszyczek do roboty.

Rycina Nr 7.

Koszyczek zrobiony z połączonych przecinków, otoczony w koło szlakiem szydełkowym



Nr 13. Torebka do roboty ozdobna haftem. (Do ryc. 39 w Blu. Nr 20).

sztytym atłasem. Bukiety z białego bzu, konwalii i pomarańczowego kwiatu, zdobiły spódnice, koronkowy zaobit stanik i welon. Suknia przeznaczona na wizyty poślubne była z brokateli i surah, koloru rzeżuchy; spódnica z brokateli przybrana upięciem z sura; stanik z sura, ścięty w bawet i objęty paskiem z aksamitu, na to mały kaftaneczek z brokateli nie dochodzący do paska i rozarty z przodu; z tyłu pek pukli ze wstążki aksamitnej i faille, dopełniał przybrania sukni.

Kostium czarny: spódnica gładka i stanik z morową kamizeleczką z faille, pokryte czarną koronką; kołnierzyk z mory zakończony

wym podług ryc. 2 w Blu. Nr 20 z oliwkowej włóczki i krętej przędzy, wewnątrz wyłożony oliwkowym atłasem, a przybrany gałązkami kwiatów, zrobionymi aplikacją; kieszonki z oliwkowego pluszu, marszczone u dołu, u góry objęte bufką atłasową koloru „fraise“ i na takiejże podszewce. Bombelki z oliwkowej włóczki i krętej przędzy, oraz złote sznureczki dopełniają przybrania.

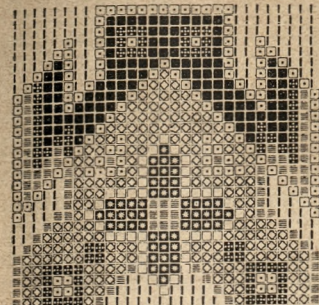
Podróżny necessaire do szycia.

Rycina Nr 12.

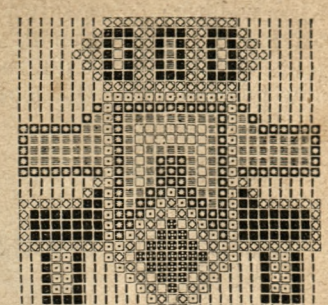
Necessaire z szarego żaglowego płótna, podwójnie złożonego (ryc. 3 w Bl. Nr 20, przedstawia



Nr 15. Dywan smyrneński haftem. (Do ryc. 38 w B. Nr 20).



■ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, □ biały, ■ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, □ oliwkowy, □ żółty, ' tło.
Nr 16. Rzut na tło do serwet lub t. p.



■ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, □ oliwkowy, ■ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, □ biały, ' tło.
Nr 17. Rzut na tło do serwet lub t. p.

go rozłożonym). wierzch haftuje się według fig. 55, wewnątrz zaś

Sposób roboty wiązanej podaliśmy w Nr 7 roku zeszłego.



Nr 19. Suknia z płótna. Przód. (Do r. 20). Opis odwr. str. tabl

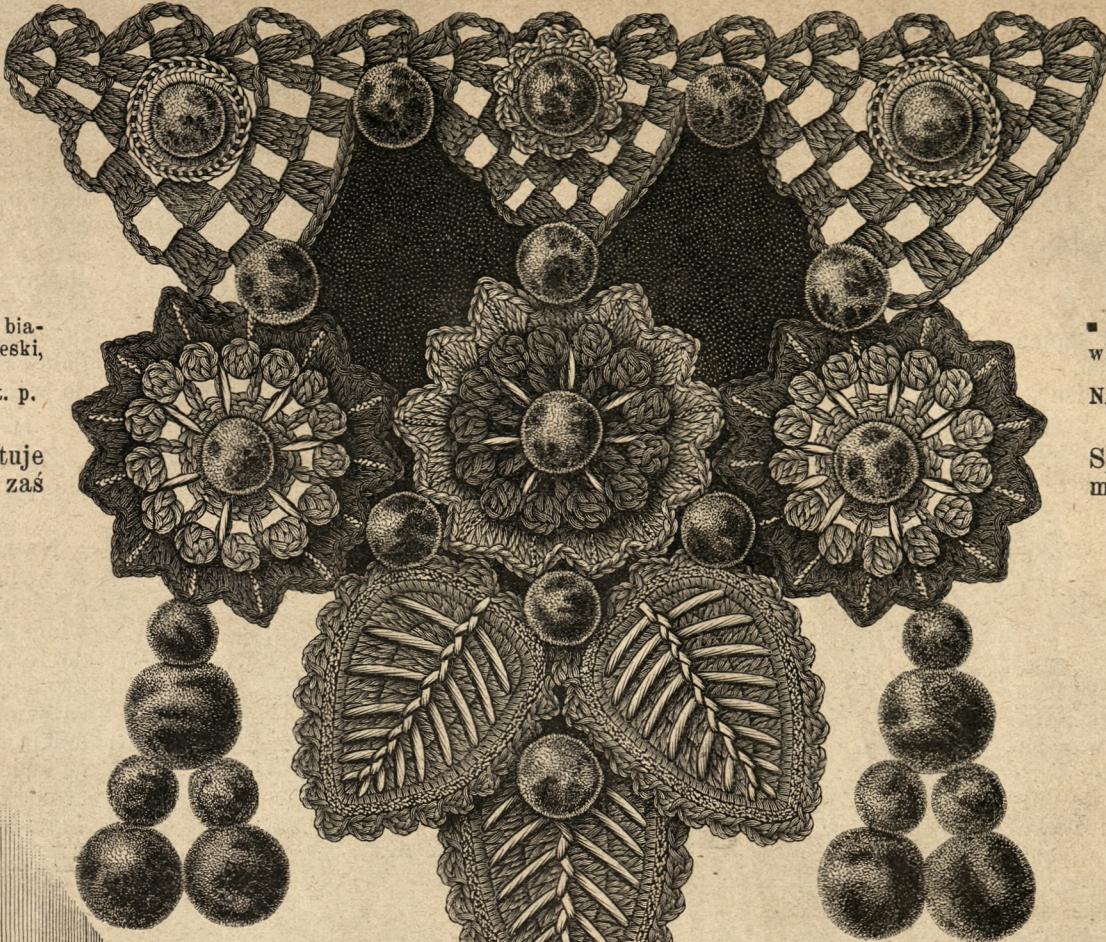
ciemną niebieską, pasową i oliwkową sznelą, złotem i filozelą. Po obu stronach haftu kanwa pokryta ciemno-pasowym pluszem; rogi zachodzącej na torebki patki scinają się, jak to widzimy na rycinie, do zapinania służy pasowy guziczek.

Dywan smyrneńskim haftem.

Rycina Nr 15.

Dywan na grubej kanwie robotą wiozaną różnokolorową włóczką; podszywka z szarego mocnego płótna.

Nr 21 Szlaczek do r. 41 w B Nr 20. Wielkość natur.



Nr 18. Ząb do botą szydełkową.

lambrekina ro-Połowa wiel. nat.

i kieszonkę podług fig. 54 ciemno-pasowym jedwabiem, ścięciem gałzkowym. Cały necessaire jak również wszystkie części wewnątrz, jako też dwie kieszonki, torebki do zakładania jedwabiu, nożyczek, napastrka, igielnika, objęte są wążką tasie-meczka. Zamyka się za pomocą guzika i gumowej pętli.

Torebka do roboty.

Rycina Nr 13.

Torebka mająca 38 cent długości, a 19 c. szerokości, zrobiona z jasno-brązowej przerabianej złotem kanwy; przez środek przechodzi szlak haftowany podług ryc. 39

Rzuty na tła do serwet i t. p.

Rycina Nr 16 i 17.

Rzuciki haftują się na kanwie różno-barwną włóczką, potem podkleja papierem, obcina kanwę w odstępie jednego ścięgu od desenu, przylepia go na plusz, sukno, lub inny gruby materyał i obhaftowa się w koło jedwabiem ścięciem krzyżowym, langietkowym lub płaskim.

Przepisy gospodarskie.

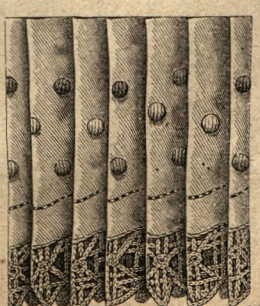
Krem z zapachem kwiatu pomarańczowego.

Wyborny i aromatyczny jest krem śmie-

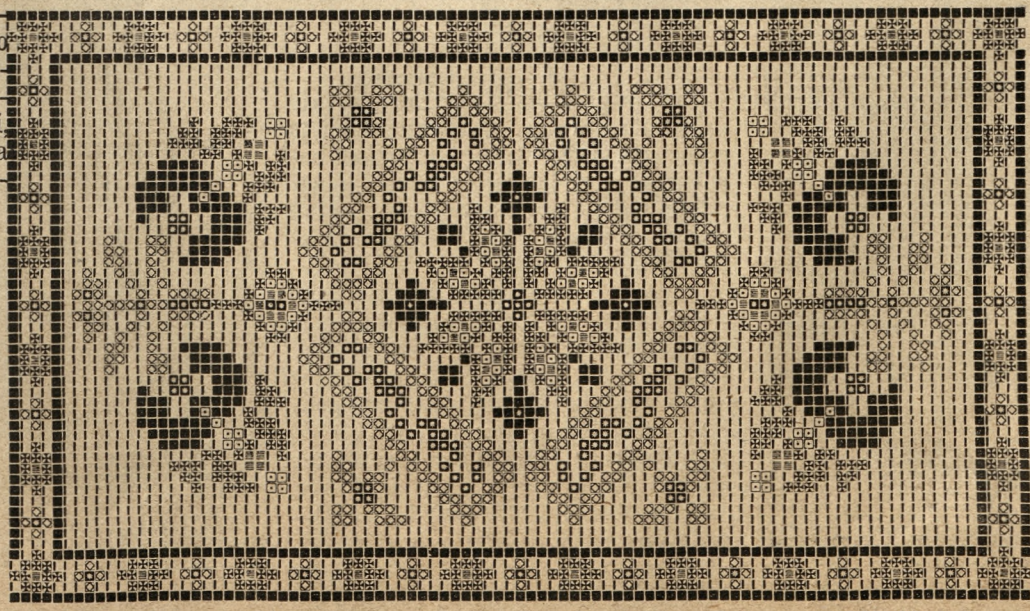


Nr 20. Suknia z płótna. Plecy. (Do ryc. 19).

tankowy, z zapachem kwiatu pomarańczowego. Ubić pół kwarty kremowej śmietanki nad lodem, lub w zimnej piwnicy; zrobić syropu gęstego z pół funta, lub nie wiele więcej cukru, w ten syrop wlać łyżkę stołową cukru palonego, łyżkę wody kwiatu pomarańczowego, oraz lut żelatyny rozpuszczonej w pół kwarterce wody, wymieszać mocno i gdy jest tylko wolne wlać w ubitą śmietankę, lejąc powoli i nie przestając w ciągu tego cagle bić mocno, gdy dobrze zgęszczone



Nr 22. Faltanka do r. 41 w B, Nr 20. Wielkość natural



■ ciemno-brązowy, ■ jasno-brązowy, □ żółty, □ oliwkowo-zielony, □ pasowy, ■ niebieski, ' tło.
Nr 23. Desenh na haft na serwetę r. 6 w Bl. Nr 19 krzyżowym ścięciem.

wlać w formę dobrą oliwą wysmarowaną, lub w małe foremki, wstawić do piwnicy lub lodowni dla zastygnięcia, a w godzinę najwyżej można wydać na stół.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Rawioli (pierzochki), ze szpinakiem i parmezanem w konkach.
3. Kotlety baranie, sos „soubise“.
4. Szparagi.
5. Kurczęta z mizeryą ze śmietaną.
6. Krem śmietankowy z zapachem kwiatu pomarańczowego.

KORESPONDENCYE.

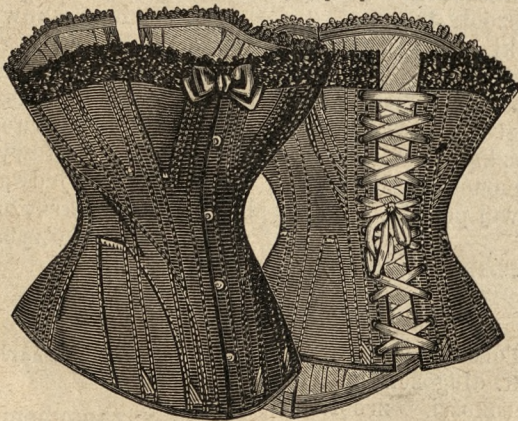
Pani Z. K.

Dodatek nasz jest reprodukcją francuzkiego „La mode illustrée“ i „Bazaru“ niemieckiego, nie możemy więc pani służyć innymi cyframi nad te, które nam nadsyłają; p. Bronikowski w Warszawie, ulica Nowy-Swiat Nr 1, wykonuje na żądanie monogramy, w cenie od 15 kop. i wyżej za jeden. Co do stołowej bielizny, to dziś moda chce, aby obrus był znaczony w środku, bardzo dużymi cyframi; serwety w narożnikach mniejszymi, ale nie małymi. Haft wykonuje się ścięciem różnym: płaskim, łańcuszkowym, gałązkowym, supełkowym,



Nr 24. Suknia z wełnianego materiału
Opis odwr. str. tabl.

Nr 25. Suknia z kanwowego materiału.
Przód. (Do ryc. 44 w Bl. Nr 20).
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10—20.



Nr 26 i 27. Gorset dla osoby otyłej.
Przód i Plecy.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 27—35.

stębnówką i t. p. Krój spódnicy pod suknię został ten sam, jaki od czasu noszenia turniur używamy — obwód łokci 4 do 5, w kliny mało ścięane.

Stalej prenumeratorko.

Pytasz pani jakie gry towarzyskie są teraz używane. Zapewne idzie tu o gry dla osób starszych, dzieci bowiem mają tysiące gier, gdzie się zrazem bawią i uczą — główny skład tego wydawnictwa: Krakowskie-Przedmieście Nr 81, u p. Wiśniakowskiego. Starsza młodzież zaś bawi się w ogóle w salonie rozmową i muzyką, lub też w szarady, przysłowia, synonimy i t. p., odgadywane przez osobę wydalającą się z salonu, podczas obmyślenia takowych. Co do frytury, to nic dziwnego, że jej nie ma w 5-tem wydaniu z przed 20 laty, dziś bowiem jest 13-te wydanie, które zawiera wszelkie nowe rzeczy sztuki kulinarnej.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Tablica krojów.

Pani Maryi Dę. w Krakowie.
Serdecznie pani wdzięczną jestem za wyrazy w jej liście umieszczone; radzę pani z duszy iść obranym torem, gdyż praca około gospodarstwa zapełnia bardzo miłe życie i ciągle się zbiera jej owoce. Żądane wskazówki znajdzie pani najdokładniej w ostatniej mojej pracy „Kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego“ czyli „Podarunek ślubny“, zawiera on matematyczne wyrachowanie co do korzyści z nabiału, oraz dział trzody, drobiu po szczegóło i t. p.; racz się pani najdokładnie do tych wskazówek zastosować.

Pani Maryi Andrejew w Władysławiu.

Żądany przepis na urządzenie łosia, podamy wkrótce w Błuszczu.

Pani Laszkiewicz w Libawie.

Na zapytanie pani, czy prawdą jest, że wynaleziono jakąś maszynę do oddzielania mleka od śmietanki, odpowiadamy: Od lat dwóch już używają do tej czynności wielkiego przyrządu zwanego „centryfugą“, który za pomocą oziębiania mleka zimną wodą, oddziela w kilkanaście minut śmietankę od świeżego mleka. Urządzenie takiej „centryfugi“ kosztuje do maneżu o jednym koniu 280 rs.; całe zaś urządzenie na większą skalę takiej mleczarni, z żelaznymi beczkami i t. p., wynosi 1200 do 1300 rsr. i dla tego właśnie używają jej tam tylko, gdzie prowadzą produkcyjne gospodarstwo nabiałowe. Przy małym gospodarstwie, a zatem mniejszej ilości mleka, nie opłaciłyby koszt zaprowadzenia tego aparatu.



Nr 28. Szlafroczek z kaszmiru. Przód. (Do ryc. 4).
Opis odwr. str. tabl.



Nr 29. Suknia z płótna i koronki „lama“. Przód.
(Do ryc. 45 w Bl. Nr 20). Opis odwr. str. tabl.